Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 5 czerwca 1938 r. Nr. 23

Trudno nie uśmiechnąć się do poniższego obrazka, na którym widzimy szerokie pola, obsadzone tulipanami!... Pola te znajdują się w Holandii i ukazują się częstokroć oczom zdumionego turysty, jak barwna fata morgana lub cudny sen. Słusznie ktoś powiedział, że każdy kraj, choćby najmniejszy, posiada swój niezastąpiony urok — Jeżeli zaś chodzi o Holandię, wygląda ona specjalnie malowniczo i wdzięcznie, gdyż, jak wiadomo, jest krajem drewnianych wiatraków i ojczyzną barwnych tulipanów.



14)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

Miałam szczęście otrzymać dnia tego list od Blanki, adresowany na moje imię do Belle Vue. Sądziła zapewne, iż zamieszkałam już w pałacu, pisywała bowiem dotychczas do Presec.

Byłam bardzo zadowolona tym razem z tej małej zmiany, list Blanki zawierał bowiem ważną nowinę, którą mogłam odrazu zakomunikować z radością Annice i porozmawiać z nią na ten temat.

— Anniko, proszę zgadnąć, co wasza młoda pani pisze mi, zawołałam żywo, zapoznawszy się z treścią listu.

Staruszka, oddalając się w głąb domu po wręczeniu mi poczty, przydreptała ku mnie z porotem.

— Nowiny! Panna Blanka donosi pewnie coś dobrego, sądząc z radosnego głosu panienki.

— Rzeczywiście, moja dobra Anniko, to są dobre nowiny. Blanka wychodzi za mąż!

— Co? Panienka wychodzi za mąż?

— Podobno.

— O Boże, a za kogo?

— Za doktora Taillet.

— Patrzcie państwo. Któż by to pomyślał?

— Widziałam, iż podobała się doktorowi. Jeśli chodzi o Blankę, jej ostatnie listy wskazywały na to, iż czuje głęboką sympatię do młodego chirurga.

— A kiedyż ślub?

— Niezwłocznie. Blanka przeprasza, iż nie prosi mnie na tę uroczystość. Ślub jednak z powodu choroby jej brata będzie bardzo skromny, z dwoma tylko koniecznymi świadkami.

— Ależ dlaczego taki pospiech? Mogłaby przecież przyjechać do Belle Vue.

— Pisze, iż przyjedzie później. W danej chwili nie chce opuszczać domu zdrowia, w którym znajduje się jej brat. Nie chce, nawet w tych okolicznościach pozostawić go samego choćby na jeden dzień, w obawie, iżby się z nim nie zdarzyło coś złego, a ona nie była przy nim, by usłyszeć jego ostatnią wolę, o ile by odzyskał świadomość.

Stara kobieta pokręciła głową w zadumie:

— Biedna panna Blanka! Nawet w takiej chwili musi mieć troski. W godzinach radości i szczęścia myśl o śmierci brata krąży dookoła niej.

— Zdaje się, iż Blanka znalazła dobrego męża. Doda on jej siły, gdy nadejdzie okrutna chwila rozstania z bratem... List jej jest wesoły i pełen dobrej myśli, już od dawna nie pisała w ten sposób. Trzeba się cieszyć, Anniko, z tego małżeństwa, które stworzy cel w jej życiu, gdy opuści ją brat.

Łzy nabiegły do oczu wiernej służącej.

— Tak, cieszmy się z jej szczęścia. Zasłużyła sobie na nie po tylu przejściach.

Spojrzałam jeszcze na zakończenie listu Blanki. Jakby odgadując moje skrupuły, o których mówiłam przed chwilą Annice, przypominała mi, iż wszystko w Belle Vue należy do mnie, prosząc, bym rządziła się bez zastrzeżeń.



Tyle wełny cała jedna owca, wyhodowana w sercu Londynu w Hyde Park'u.

Annika pisała jej prawdopodobnie o swej siostrzenicy, Blanka bowiem zwracała się do mnie z prośbą o przyjęcie jej na wakacje do Belle Vue, zaznaczając, jak mówiła mi o tym staruszka, iż dziewczyna bardzo ładnie szyje sukienki.

— „Rozporządzaj bielizną i garderobą, która znajduje się w pałacu, dodawała. Proszę cię, kochanie, nie wzbraniaj się przyjąć rzeczy, które bezużytecznie leżą w szafach. Wiem dobrze, iż babka twoja nie psuje cię zbytnio; jeśli siostrzenica Anniki potrafi wykombinować ci coś ładnego z tej starzyzny, zrobi tym nie tobie, lecz mnie wielką przyjemność"...

Ofiarowywała mi to z taką subtelnością, iż nie pozostawało nic innego jak przyjąć, o czym też napisałam jej natychmiast, z sercem przepełnionym wdzięcznością.

Dziwiłam się tylko trochę, iż pani i służąca, jakby się umówiły, aby tego samego dnia przekonywać mnie o tym, iż wszystkie rzeczy w Belle Vue należą do mnie.

Dopiero później, o wiele później, dowiedziałam się, iż istniało między nimi porozumienie, i że Annika wykonywała otrzymane zlecenia, a Blanka, usuwając tak przyjaźnie me skrupuły, wykonywała plan z góry nakreślony, któremu musiałam się poddać.

* * *

Ponure dni wlokły się znowu przy mej zgryźliwej i przykrej babce.

Od rana do wieczora padał deszcz, uniemożliwiając mi udanie się do Belle Vue.

Róża przyjechała już prawdopodobnie i Annika była uszczęśliwiona jej przybyciem, znajdując w niej miłą towarzyszkę i pomoc w pracy.

W wyobraźni swej stworzyłam tymczasem obraz Róży, który zresztą wcale nie odpowiadał oryginałowi.

Wydawało mi się zupełnie naturalnym, iż siostrzenica służącej musi być dziewczyną prostą, o skromnym wyglądzie.

Gdy więc ujrzałam Różę, po raz pierwszy, oniemiałam ze zdumienia.

Ubrana na biało, w białych pantoflach i pończochach, w wielkim kapeluszu z białego tiulu na krótko obciętych włosach, ukazała mi się niby roześmiana ,jasna wróżka, rzucająca uśmiechy śmiertelnikom, których ja uosobiałam w mej ciemnej i prostej sukience pensjonarki, cztery razy już podłużanej i w grubych, podkutych bucikach, trzykrotnych zelówkach.

— Ciociu! zawołała na mój widok, mamy gościa: jakaś pani!

— Jakaś pani? odezwała się Annika z kuchni. Któż to może być, mój Boże?

Byłam tak zaskoczona widokiem wdzięcznej postaci Róży, iż nie przyszło mi nawet do głowy uprzedzić służącą o lekceważącym zachowaniu jej siostrzenicy.

Widząc, iż stoję jak wryta, swawolna dziewczyna, jakgdyby ubawiona moją nieruchomą postawą, spytała nagle:

— Czego sobie życzycie, dobra kobieto?

— Ależ, niczego sobie nie życzę, kochana Różyczko, odrzekłam, zdziwiona nieco tym „dobra kobieto", którym mnie przywitała.

Młoda dziewczyna przestała się śmiać, przyglądając mi się ze zdumieniem.

— Patrzcie! To śmieszne! Znacie moje imię?

W tej chwili ukazała się Annika, z mokrymi jeszcze rękami, zaskoczona bowiem wśród pracy wołaniem siostrzenicy, umyła je w pospiechu.

— Panna Sabina! rzekła, ujrzawszy mnie. A ten trzpiot mówi, że gość.

— Panna Sabina! Proszę cię, ciociu, kto to jest? Imię nie jest przecież wypisane na twarzy!

— Proszę jej wybaczyć, panienko; młode to jeszcze, nie ma za grosz umiarkowania i gada jak sroka.

Biedna Anika była bardzo zakłopotana.

— Masz bardzo zabawną siostrzenicę, Anniko, rzekłam, by ją uspokoić. Zresztą ona ma rację, moje imię nie jest wypisane na twarzy.

— A nawet, gdyby tak było, nic by mi to nie powiedziało, zaczęła znowu niepoprawna dziewczyna ,dla mnie bowiem imię Sabina jest równie nieznane, jak imię listonosza, który przynosi nam codzień pocztę.

— Panienka jest naszą dziedziczką, Różo! Proszę cię, zamilknij i przestań mówić głupstwa, które ci wciąż przychodzą do głowy.

— Dziedziczka! Dziedziczka! Ciociu, przecież to nie jest panna de Saumarte, którą znam dobrze i...

Tym razem Annika rozgniewała się na dobre i dała burę swej siostrzenicy.

— Czy ty zamilkniesz, nieznośna smarkata!

— Milczę, ciociu, milczę!

I zwracając się do mnie, oddała łobuzersko:

— Ciocia gniewa się na mnie, proszę pani; ale ja nie mogłam przecież odgadnąć... widząc panią tak ubraną, pieszo... myślałam, iż przychodzi pani z jakiejś okolicznej fermy. Teraz zdaję sobie sprawę iż się omyliłam. Sądząc z wyrazu twarzy mej ciotki, przypuszczam, iż popełniłam głupstwo. Trzeba mi to wybaczyć.

Było to powiedziane tak naiwnie i zarazem tak bezczelnie, iż nie znalazłam słowa odpowiedzi.

Róża, ubrana na biało, gadatliwa, impertynencka prawie, ukazała mi się jak postać z bajki. Była to wspaniała próbka tych Paryżanek, olśniewających wdziękiem i dowcipem, o których mówi cały świat.

A ja, skromna panienka z prowincji — podziwiałam ją, oczarowana i uważałam za naturalne prawie, ironię jej oczu, przebiegłości głosu i drwiny z mych słów.

Gdybym się znała na strojach, zauważyłabym, iż suknia jej zrobiona jest z taniego materiału, pończochy z bawełny, pantofle z płótna.

Ta biel jednak przedstawiała dla mnie w tej chwili coś non plus ultra. Tania elegancja przedmieścia, zaondulowane włosy, policzki ożywione różem, oczy podkreślone ołówkiem, usta umalowane karminem, wszystko to, tak nieznane mym oczom, wprawiło mnie w zdumienie, połączone z zachwytem i oczarowaniem.

W milczeniu udałam się do wnętrza pałacu.

Obie kobiety weszły za mną. Starsza, zaniepokojona mym milczeniem, zarzucała swą towarzyszkę wyrzutami i napomnieniami. Młodsza, oszołomiona, zaczynała mnie uważać z kolei, za niezwykłą osobistość.

Nie wątpiła już w to, iż byłam „dziedziczką", tak bowiem pompatycznie nazwała mnie jej ciotka. Lecz mój brak elegancji, grube zakurzone obuwie, musiało sprzeciwiać się w jej umyśle zwykłemu wyobrażeniu, które sobie zapewne wyrobiła o „dziedziczce". I nie byłam pewna, czy nie uważała mnie w tej chwili za dotkniętą chorobą umysłową.

Zdjąwszy płaszcz i kapelusz, zwróciłam się do obu kobiet.

Oczy moje spotkały się ze spojrzeniem Róży, przyglądającej się ze współczuciem mej „toalecie". Nagle opanowała mnie wesołość. Zdumienie tej dziewczyny pozwalało mi zapomnieć o upokorzeniu, którego skrycie doznawałam od kilku chwil.

Na widok osłupienia młodej Paryżanki wybuchnęłam wesołym, niepowstrzymanym śmiechem.



Zaczerwieniła się zawstydzona, nie odzywając się ani słowem. Ja zaś, rozbrojona tym rumieńcem, zapominając o niesłychanym powitaniu młodej dziewczyny, zapytałam przyjaźnie:

— Kiedy przyjechałaś, Różo?

— Wczoraj wieczorem, proszę panienki.

— Miałaś wygodną podróż?

— Doskonałą!

— Wyspałaś się tej nocy?

— O, tak, byłam bardzo zmęczona.

— Ale teraz jesteś już wypoczęta?

— Zapewne, odparła, zdziwiona mymi pytaniami.

— A więc, ciągnęłam dalej, wybuchając na nowo śmiechem, niema obawy, byś się przewróciła?

— Dlaczego miałabym się przewrócić, proszę pani?

— Masz bowiem wygląd niebywale zdumionej moim zjawieniem się.

— Niech panienka jej wybaczy, wtrąciła się Annika ponownie. Róża nie wiedziała, iż panna de Saumarte znajduje się z dala od Belle Vue i, że obecnie panna de Presec ją zastępuje...

— Ależ nie tłumacz swej siostrzenicy, moja droga Anniko, zawołałam wesoło. Była zachwycająca przed chwilą, mówiąc: „Czego sobie życzycie dobra kobieto." Nikt jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób. To było bardzo zabawne! A ja, oczarowana taką bielą, zadawałam sobie pytanie: „Czyż naprawdę ma na imię Róża? Blanka było by bardziej odpowiednie". Będziemy miały teraz piękne wspomnienia w przyszłości, mówiąc o naszym pierwszym spotkaniu, nieprawdaż Różo?

— Tak, proszę panienki, odrzekła coraz bardziej zawstydzona, zmieszana moimi słowami, mimo, iż starałam się w nich wyrazić jak największą wyrozumiałość.

Uczyniła mi zresztą w jakiś czas potem, to szczególne wyznanie:

— Dopóki pani nie mówiła, nie mogłam odgadnąć kim pani jest. Ale potem, nie można było się omylić; pani głos ma specjalny dźwięk, bardzo łagodny, bardzo uprzejmy, po którym poznać odrazu prawdziwą panią. W Paryżu często się spotyka w kolejce podziemnej, w sklepach, w teatrach, kobiety ubrane jak królowe. Są piękne, bardzo piękne — przyjemność na nie patrzyć. I nagle, gdy otwierają usta, mówią... czar pryska: mają głos wulgarny, wytarty, pospolity, nawet prostacki. Wystarczy jedno słowo, by rozwiać złudzenie: to już nie królowa, to dziewka. A z panią jest wprost przeciwnie: na razie można się pomylić, ale, gdy się panią usłyszy, nie można mieć wątpliwości, iż to panienka z dobrego domu...

Naiwne uwagi Róży mocno mnie ubawiły. Byłam jednak jej wdzięczna, iż nie podzieliła się nimi ze mną w pierwszym dniu naszego poznania, gdyż, rozbawiona wspaniałym powitaniem, byłabym niezawodnie parsknęła jej śmiechem w nos... co nie jest zupełnie w stylu wielkiej pani.

* * *

Tym razem pozostałam w Belle Vue przez trzy dni.

Róża, pragnąc zapewne przebłagać mnie za swoje nieodpowiednie zachowanie, zabrała się odrazu do szycia. Od rana do wieczora, często nawet do późnej nocy, widziałam ją przy pracy, jak pruła, krajała zeszywała i przygotowywała całe stosy drobiazgów, kawałki materiałów, jedwabi, koronek, które pod jej zręcznymi palcami zamieniały się w czarujące sukienki i różne prześliczne ozdoby.

W ciągu dziesięciu dni bywałem w Belle Vue bardzo często. Babka, zamykając się na długie godziny ze swym pełnomocnikiem, pozostawiała mi dużo wolnego czasu. Łatwo odgadnąć iż przyciągana sprawami toaletowymi, sprawami, których nigdy dotąd nie poruszano ze mną, nie omijałam żadnej okazji, by udać się do pałacu, gdzie oddawałam się do dyspozycji Róży, dla najróżnorodniejszych przymiarek i poprawek.

Stałyśmy się pozatem dobrymi przyjaciółkami. Ta młoda dziewczyna o duszy bezpośredniej i szczerej, przypadła mi do serca. Była już wtajemniczona w moją sytuację. W jej oczach babka moja przybierała postać jakiejś Baby-Jagi, Piotr Desormiers był ludożercą, a Janusz de Saumarte — czyż mam to dodawać — zjawiał się w mym życiu jako królewicz z bajki, by wyzwolić mnie z mocy złych duchów, którymi byłam otoczona.

Do Czytelników „Moich Powieści" !

W myśl naszej zapowiedzi, rozpoczynamy wkrótce druk 3 nowych powieści. Ponieważ powieści te będą wyjątkowo piękne i interesujące, chcielibyśmy zapoznać z naszym tygodnikiem jak najszersze rzesze tych Czytelników, którzy „Moich Powieści" jeszcze nie abonują.

W tym celu załączymy do następnego numeru naszego tygodnika kartki zamówieniowe, na których prosimy wypisać adresy znajomych osób, którym należało by posłać bezpłatne okazowe numery celem zapoznania tych osób z „Moimi Powieściami."

Już dziś możemy zdradzić, że tygodnik nasz od następnego miesiąca ulegnie pewnemu przeobrażeniu ku zadowoleniu Czytelników.

Na razie prosimy pamiętać o wypełnieniu pocztówek, które załączymy do następnego numeru naszego tygodnika.

Redakcja „MOICH POWIEŚCI".

Słuchałam z przyjemnością, gdy zapewniała mnie, iż wszystko się dla mnie dobrze skończy, iż jestem napewno stworzona do niezwykłego szczęścia i do życia w rozkoszy i miłości.

Lecz, gdy zwracałam jej uwagę na to, iż mój „królewicz z bajki" jest nieszczęśliwym automatem, obłąkanym po nieudanej operacji, robiła śmieszny grymas, oświadczając, iż nie można mieć wszystkiego naraz, iż wszystko ułoży się napewno jak najlepiej, trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

W oczekiwaniu tego wielkiego dnia, który według niej, miał już niebawem nadejść, Róża sporządzała mi suknię za suknią, kapelusz za kapeluszem.

Miałam już suknie wieczorowe, spacerowe, wizytowe, domowe, tenisowe; płaszcze do wyjścia, do kościoła, do auta, do spacerów w lesie, wreszcie dla wielu innych okazji, które nigdy dla mnie nie nadejdą. Jej zręczne palce stwarzały cuda.

Którejś soboty Róża i jej ciotka oświadczyły, iż udadzą się nazajutrz do kościoła na sumę, by mieć szczęście podziwiania mnie w pięknej niebieskiej sukni, którą Róża przed chwilą ukończyła.

Od wielu już lat nosiłam tylko ciemne sukienki, i nie miałam odwagi ukazywać się babce i okolicznym kumoszkom w nowej blado-niebieskiej sukni, przygotowanej przez Różę.

Obydwie kobiety jednak tak usilnie nalegały i tłumaczyły, że moja uboga sukienka nie odpowiadała zupełnie sytuacji materialnej mej babki, iż w końcu przyrzekłam im przystroić się na drugi dzień w nową toaletę.

Opuszczając wieczorem Belle Vue, unosiłam z sobą mnóstwo drobiazgów, mających mnie ozdobić na jutrzejszy wyjazd do kościoła. Oprócz sukni i kapelusza, Annika przygotowała bieliznę, i inne niezbędne rzeczy.

Annika, raz na zawsze oświadczyła mi, iż szafy w pałacu przepełnione są podobnymi rzeczami i że powinnam z nich, bez skrupułów czerpać, inaczej zjedzą je mole. Uwierzyłam w to z całą naiwnością, uszczęśliwiona tą niespodziewaną „manną" i nie wzdragałam się już więcej przed korzystaniem z zawartości czarodziejskich szaf.

Nazajutrz wstałam bardzo wcześnie, by, stosując się do lekcji kokieterii, dawanych mi przez Różę, przystąpić do drobiazgowej toalety, a więc: gorący i zimny prysznic, ondulowanie włosów, wyszczotkowanie rzęs, lakierowanie paznokci i t. d. Nigdy jeszcze nie miałam tyle kłopotu ze swą niepozorną osóbką.

Nadeszła wreszcie chwila udania się do kościoła.

Gdy zeszłam na dół, babka ze zdumieniem obejrzała mnie od stóp do głowy.

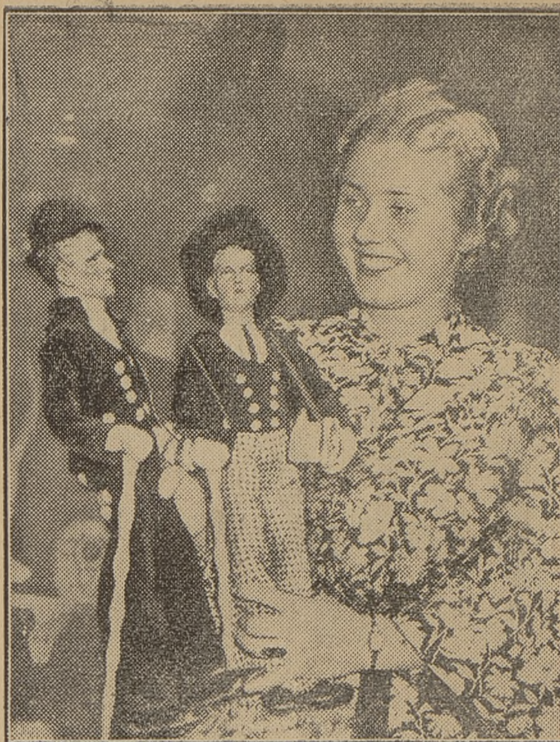
— Jak widzę niczego sobie nie odmawiasz, Sabino! A któż to zapłacił za te wszystkie piękne rzeczy?

— Sporządziłam je sobie sama przy pomocy Róży, siostrzenicy Anniki.

— A materiał? Znalazłaś go pewnie na zboczach gór?

— Wcale nie, babciu. Zostałam poprostu obdarowana w Belle Vue. Jest tam tego pełno.

— A twoja godność osobista nie oburza się na to, iż zawdzięczasz te rzeczy łasce swej przyjaciółki?



Modele typów ludowych, przygotowane przez stolarzy na wystawę rzemiosła w Hamburgu.

— Nie babciu. Wolę zawdzięczać je Blance, niż wciąż uciekać się do twej szczodrobliwości.

— Jesteś zawsze bezczelna, nieznośna dziewczyno!

— Ależ nie, babciu. Moja odpowiedź nie ma nic wspólnego z bezczelnością. Przez całe lata karmisz mnie z łaski, jestem więc szczęśliwa, iż mogę nieco zmniejszyć twe wydatki na mnie, korzystając z dobroci właścicielki Belle Vue.

Tak uprzejmie gawędząc, dojechałyśmy do kościoła.

Juliusz wiózł nas antycznym kabrioletem. Siedząc w tym archaicznym wehikule, obok babki, ubranej w koronkową mantylę z ubiegłego wieku, czułam się w mej krótkiej, wyciętej pod szyją sukience, jak na maskaradzie.

Mimo wszystko, nie straciłam pewności siebie, wchodząc do kościoła.

Wyciągnęłam rękę, by zanurzyć ją w wodzie święconej; wtem palce moje zetknęły się w ciemności z czyimiś wilgotnymi palcami.

Zdumiona, podniosłam oczy.

Jakiś nieznajomy, lat około 30, wysoki smukły, stał przy kropielnicy, wpatrując się we mnie. Pod ciężkim, badawczym spojrzeniem opuściłam powieki, i rumieniąc gwałtownie, wzięłam niezręcznie z palców odrobinę wody święconej, którą mi podawał.

Podczas, gdy klęczałam na swym zwykłym miejscu, machinalnie odmawiając modlitwy, myśli moje krążyły wokół tego niespodziewanego wydarzenia; usiłowałam odgadnąć, kim był nieznajomy.

Nie pochodził z miasteczka, znałam bowiem teraz prawie wszystkich jego mieszkańców i nie przypominałam sobie, bym go kiedykolwiek widziała.

Mógł tu być jednak przejazdem? W gościnie u krewnych lub przyjaciół. Po wyjściu zobaczę go napewno w towarzystwie któregoś z okolicznych mieszkańców. A może to tylko jakiś podróżny, który zatrzymał się na parę godzin w hotelu?

To ostatnie przypuszczenie wydało mi się nieprawdopodobne, miasteczko bowiem nie posiadało ani jednego domu, godnego nazwy hotelu. Jedyny zajazd nie był odpowiedni dla wytwornych gości w dwóch pobielonych wapnem izbach, zatrzymywali się jedynie handlarze bydła i przejezdni farmerzy.

Dźwięk dzwoneczków przy ołtarzu budził mnie trzykrotnie z tych świeckich rozmyślań; napróżno jednak usiłowałam zagłębić się w modlitwie, myśl moja powracała wciąż do wyciągniętej ku mnie ręki mężczyzny i do śmiałego spojrzenia zatopionego w mych źrenicach.

O, Boże! Cóż to za opętanie!

Czyż zwracałam zazwyczaj uwagę na przyglądających mi się ludzi? I pocóż przywiązywać tyle znaczenia do jakiegoś gestu, do spojrzenia?

Nie byłam coprawda przyzwyczajona do zwracania na siebie uwagi innych, zwłaszcza mężczyzn. Zachowanie więc nieznajomego i jego obecność w kościele wyprowadzało mnie zupełnie z równowagi.

Mówiłam sobie jednak z goryczą, iż gdyby ów nieznajomy spotkał mnie na swej drodze w ubiegłą niedzielę, nie zauważyłby z pewnością biednie ubranej dziewczyny. Dziś, ta elegancka młoda panna, nie była właściwie mną!

Zawdzięczałam zapewne tylko ładnej sukni uprzejmy gest nieznajomego, który był zwykłym odruchem grzeczności względem przypadkowo spotkanej kobiety, kimkolwiek by ona nie była!

Te przekonywujące argumenty nie przeszkadzały mi jednak myśleć ustawicznie o jego spojrzeniu.

Uprzejmy gest mógł być tylko odruchową grzecznością, lecz wyraz oczu tego mężczyzny wywołał jeszcze teraz rumieniec na mej twarzy i dreszcz wzruszenia w sercu.

Gdy po ukończeniu mszy, opuszczałyśmy naszą ławkę, pobiegłam spojrzeniem ku tłumowi, cisnącemu się do wyjścia, szukając w nim obcej sylwetki.

Nieznajomy jednak znikł już. Spostrzegłam tylko Różę i jej ciotkę, wpatrujące się we mnie z oddali. Dziewczyna była zarumieniona z radości widząc mnie w sukni jej roboty.

Zaledwie wyszłyśmy z kościoła, pozostawiając babkę z jej wierną Klaudyną, drepczące za nią, skierował swe kroki ku tym dwom kobietom. Były to jedyne przyjazne dusze wśród tego obojętnego tłumu. Uścisnęłam im serdecznie dłonie, wdzięczna za okazywaną mi sympatię.

Wkrótce nadeszła za mną babka i zatrzymując się przed Różą, rzekła:

— Winszuję panience ładnej roboty. Sabina ma mniej brzydką suknię niż zazwyczaj. Ta dziewczyna jest tak niedbała, iż żadna krawcowa z Dijon nie może sobie dać z nią rady.

Zachmurzyłam się, słysząc ten czarujący komplement. Ostatnia sukienka moja była kupiona przez babkę przed egzaminem maturalnym, na żądanie wychowujących mnie zakonnic. Miałam wtedy niecałe szesnaście lat, teraz miałam przeszło dwadzieścia. Jakże więc mogłam dobrze wyglądać w tej sukience?

Podczas gdy ja milczałam, Róża odezwała się:

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

84)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Prócz Freddersów bywają u Waldauów jeszcze hrabia Rauch z żoną i adwokat Noth z córką.

Przypadek pouczył Nothów, jak nikczemne i bezpodstawne było oczernianie niewinnej Hortensji i są oni teraz najszczerszymi przyjaciółmi Waldauów.

Hortensja chce wyswatać Waleskę, bo jak wszystkie szczęśliwe ,młode kobiety, lubi kojarzyć małżeństwa.

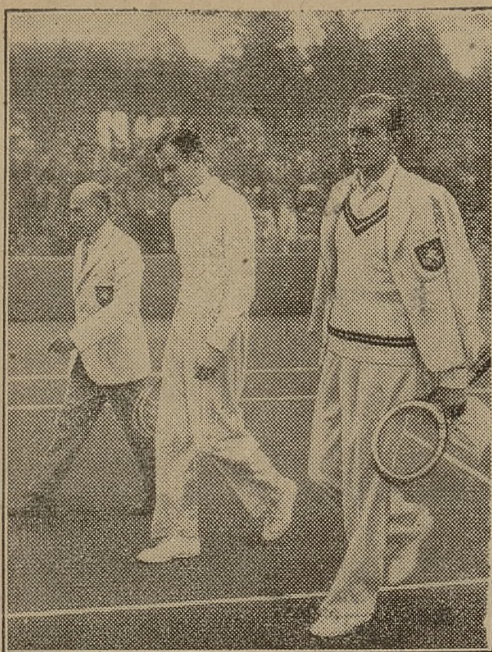
Na tym urwiemy sprawozdanie co do naszych przyjaciół. Są oni szczęśliwi, a o szczęśliwych zawsze mało jest do powiedzenia.

Oby im Bóg pozwolił cieszyć się stale tym szczęściem bez chmury.

ROZDZIAŁ CCCXVIII.

Nieudana zemsta

Markiz poruszył wszystkie sprężyny, aby przyspieszyć ślub swój z piękną narzeczoną.



Zwycięska niemiecka para tenisistów, Henkel i Metaxa, którzy zwyciężyli z Norwegią w ramach rozgrywek o puhar Davisa.

Jak cudownie się los dla niej ułożył! Z największej nędzy wzniosła ją Opatrzność do największego bogactwa!

Bezwiednie złożyła ręce do modlitwy dziękczynnej, po której ze łzami w oczach nim list do niej adresowany. Brzmiał on jak następuje:

Kochana Ido!

„Nie było to wprawdzie pięknie z twej strony, żeś się synowi memu sprzeniewierzyła i za kogo innego za mąż wychodzisz, ale to już się odstać nie może. Życzę ci szczęścia, na które zasługujesz. W dowód zaś, że nie mam do ciebie żalu, przesyłam ci ślubny welon twej zmarłej matki. Było to zawsze jej życzeniem, abyś go w dzień ślubu swego nosiła. Niech ci on szczęście przyniesie! Jest to szczere życzenie twej życzliwej ci przybranej matki.

Selmy Hai".

— Pani Hai jest lepszą niż myślałam — szepnęła Ida wzruszona.

Rozłożyła welon, z którego rozchodził się dziwny zapach i chciała go właśnie do ust przycisnąć ,gdy wtem weszła pani Herbert do pokoju.

— Co to za welon? — spytała zatrwożona.

— Proszę pomyśleć ciotko — zawołała Ida, — jaka ta pani Hai jest dobra. Posyła mi ślubny welon mej nieboszczki matki.

Chciała znów przycisnąć welon do ust, ale pani Herbert przeszkodziła temu.

Tragiczna epopea dwojga zakochanych...

Meksyk! Egzotyczna kraina ludzi nietkniętych cywilizacją Europy.

Wiek XVIII w Europie! Wiek tarć, przewrotów, upadku monarchij i powstawania państw demokratycznych.

Polityczne machinacje mocarstw europejskich, niedozwalające na spokojne życie dwojga oddanych sobie na śmierć i życie ludzi, którzy z woli rządów Europy zmuszeni są płynąć za Ocean, do Meksyku, by tam wśród walk i tarć partyj politycznych prowadzić akcję pojednawczą.

Bohaterska misja ukochanej żony cesarza Maksymiliana do papieża, rozstrzelanie jej męża przez zagorzałych antagonistów politycznych — oto treść wspaniałej, rewelacyjnej powieści historycznej, której druk rozpoczniemy już w najbliższych numerach.

Powieść ta pt. **„KAROLINA — CESARZOWA MEKSYKU"** Roberta Goffin'a, którą z zapartym oddechem czytać będą wszyscy, okaże się niecodziennym wydarzeniem w historii naszego wydawnictwa.

A więc już wkrótce nowe powieści!...

Życzenia jego pod tym względem rychło się spełniły, gdyż Idzie wyznaczono jako nowego opiekuna pana Spillera.

Poczciwy stary Spiller pojmował pospiech markiza, a panią Spiller i Cylę pozyskał sobie markiz sutymi podarunkami i zaproszeniem na wesele.

Było to dla Cyli pociechą, że mogła przynajmniej być drużką, jeśli nie było jej już przeznaczonym być narzeczoną.

Wesele Markiza miało się odbyć w tydzień po śmierci Teobalda.

Wszystko już było przygotowane. Mała garstka gości zaproszona, suknia ślubna Idy z cudnego białego aksamitu, leżała już gotowa w pokoju narzeczonej, a obok leżało etui z familijnymi cennymi biżuteriami de Lormów. Welon ślubny był z prawdziwej koronki, brakował tylko jeszcze wieniec ślubny.

Ida przypatrywała się tym kosztownościom zamyślona.

pomyślała o zmarłych swych rodzicach. Dlaczego oni nie żyją i nie mogą się cieszyć jej szczęściem!

Wtem zapukano do drzwi.

Na zezwolenie jej wszedł woźny pocztowy i zapytał z ukłonem:

— Czy mam zaszczyt mówić z panią Idą Steinert?

— Tak się nazywam — odparła Ida.

— Mam wielmożnej pani oddać bardzo cenną przesyłkę — rzekł na to przybyły, stawiając drewniany karton na stole. — Czy mogę prosić o podpisanie recepisu?

Ida podpisała i posłaniec oddalił się, dostawszy suty napiwek.

Ida przypatrywała się ciekawie kartonowi i odcinkowi z przekazu.

Pakunek nadany był w jednym z przedmieść Wiednia, a nadawczynią była Selma Hai.

Otworzywszy pakunek, zobaczyła w nim koronkowy, trochę już zżółkły welon, a na

— Na Boga! — zawołała przerażona — nie dotykaj się tego welonu, moje dziecko. Ta tkanina jest pewnie przesiąknięta jakąś trucizną. Jest to szatańska intryga, aby cię zgubić. To nie jest ślubny welon twej matki. Pani Hai opuściła dom swój z próżnymi rękoma, nie wziąwszy nawet dla siebie trochę bielizny. Gdzież ona miała czas pomyśleć o tym i odszukać ślubny welon twej matki, aby ci tym sprawić niespodziankę? Pani Hai nie należy do osób, które wśród swoich trosk myślą jeszcze o tym, aby się komuś jeszcze przysłużyć .Jak możesz wierzyć jej kłamstwom?

Pani Herbert wciągnęła dla ostrożności rękawiczki, nim dotknęła welonu, aby go na powrót włożyć do kartonu.

— Teraz pojadę z tym welonem do chemika — rzekła pani Herbert — aby go zbadać.



W Anglii utworzono ostatnio kobiecą eskadrę lotniczą do obrony kraju.

To rzekłszy, ubrała się i opuściła z kartonem w ręku hotel, aby się przekonać czym pani Hai swój prezent ślubny nasyciła.

Młoda narzeczona została w hotelu zamyślona. Trudno jej było uwierzyć w tyle podłości ludzkiej, ale im więcej się nad tym namyślała, tym bardziej przychodziła do przekonania, że przypuszczenia pani Herbert były słuszne.

Po kilku godzinach wróciła pani Herbert z miasta i objąwszy Idę, uścisnęła ją czule.

— Bogu dzięki za to — rzekła serdecznie — żem cię uratowała od śmierci, moje biedne dziecko!

— Czy welon był naprawdę zatruty? — spytała Ida, drżąc na całym ciele.

— Był napojony zabójczą trucizną — odparła pani Herbert. — Gdybyś go tylko kilka godzin miała na sobie, byłabyś stracona. Ale ta okropna osoba, musi otrzymać zasłużoną karę za zbrodnię, która jej się na szczęście nie udała.

— Co ciotka zrobiła? — zapytała Ida przestraszona.

— Oddałam tę sprawę tajnemu ajentowi, panu Mehlhosowi — rzekła pani Herbert — który ma odszukać ślad tej truicielki.

— Ale ja nie chcę jej nieszczęścia — zawołała Ida — nie chcę, aby ona z mego powodu miała jedną przykrą chwilę. Trzeba dać znać Mehlhosowi, aby zaniechał dalszych poszukiwań.

— Jak się jej teraz nie ukarze, to ona w inny sposób będzie starała się sprzątnąć cię ze świata, aby pomścić śmierć swego syna — oświadczyła pani Herbert. — Aby cię od tego ochronić, musimy ją uczynić nieszkodliwą.

Starała się jeszcze nakłonić swego narzeczonego, aby pani Hai nie prześladowano, ale markiz był innego zdania.

— Nie ma dość ciężkiej kary dla tej skrytobójczyni — rzekł oburzony.

W ciągu wieczora nadszedł telegram do Mehlhosego alias Sperlinga ,że pani Hai wyjechała zaraz po nadaniu pakunku do Szwajcarii i że on za nią tam jedzie, ale się obawia, że nie będzie jej mógł dogonić przed granicami Szwajcarii, na której terytorium już jej nic zrobić nie może.

— Daj Boże, aby uciekła — rzekła Ida smutnym głosem — ja nie mam żalu do niej!

Musimy tu wyprzedzić bieg wypadków.

Pani Hai osięgnęła szczęśliwie Szwajcarię i schroniła się tam w małej, odległej wiosce. Czytywała pilnie wiedeńskie dzienniki i dowiedziała się z nich, że jej zemsta się nie udała, gdyż ślub markiza z Idą odbył się. Była też wzmianka, że młoda markiza de Lorme zjawiła się w dzień po ślubie w domu starców i kalek, którym ofiarowała znaczny datek.

Wiadomość ta doprowadziła ją do wściekłości.

Tak świetnie ułożony jej plan zemsty spełzł na niczym!

Przysięgła Idzie zemstę. Ta znienawidzona osoba nie miała się cieszyć swym szczęściem, podczas gdy Teobald leżał w zimnym grobie! Przysięgła to sobie nad zwłokami swego syna!

Plan jej tak świetnie był ułożony, że nie mogła ona sobie przedstawić, jakim sposobem mógł się nie udać.

Dniami całymi szalała ona, jak gdyby jej się w głowie pomieszało.

Co teraz miała począć?

Nie miała odwagi wrócić do Austrii z obawy, aby jej nie przyłapano, a z daleka nie mogła Idzie nic złego zrobić. Przeklinała ją tylko najokropniej. Lecz Bóg nie wysłuchał jej, a Ida żyła dalej i czuła się jedną z najszczęśliwszych osób na świecie.

Pani Hai nie była nigdy wielką filantropką, ale od śmierci swego syna nienawidziła wprost ludzi i byłaby najchętniej widziała, gdyby się cały świat zapadł!

Żyła też w ciągłej trwodze, że ją okradną i zamordują.

Aby ludzi w błąd wprowadzić, prowadziła bardzo nędzne życie. Ubierała się licho, mieszkała w małej, źle umeblowanej izdebce i jadała tylko najtańsze potrawy.

Nocą przeglądała swoje skarby przy zamkniętych drzwiach i okiennicach, ale majątek nie sprawiał jej przyjemności.

Najbiedniejsza żebraczka ma pewno przyjemniejsze życie, niż ta bogata kobieta nienawidząca swych bliźnich i żyjąca w wiecznej przed nimi trwodze.

Gdy umrze, nikt za nią nie zapłacze.

Obojętni ludzie ją pogrzebią i dziwić się tylko będą, że osoba, która tak nędznie żyła ,tak wielki majątek zostawić mogła.

Kto sieje nienawiść, ten nienawiść zbiera!

ROZDZIAŁ CCCXIX.

Złączeni na wieki

Słonecznie rozpoczął się dzień, w którym Ida miała zostać małżonką markiza.

Pani Herbert ustroiła piękną narzeczoną która w ślubnym stroju wyglądała jak anioł, i odbijała bardziej korzystnie od swych druhen, panny Cyli Spiller i panny Kudlich.

Całą rodzinę Kudlichów zaproszono na wesele markizy ale zjawiła się tylko córka z ojcem. Piękna toaleta, którą od markiza de Lorme na ślub dostała, była powodem zazdrości całego Petershagen, t. j. wszystkich pań tamtejszych.

W kościele zebrała się liczna publiczność.

Gdy młoda para weszła, rozległ się ogólny szmer podziwu. Byli oboje tak młodzi i piękni, że zjednali sobie szturmem serca obecnych.

— Kto jest ta przystoina dama w czerwonej, aksamitnej sukni? — zapytał ktoś z ciekawych. — Czy to matka panny młodej?

— Nie, ona jest sierotą — była odpowiedź — a ta, to niejaka pani Herbert, przyjaciółka oblubienicy.

Ceremonia ślubna się rozpoczęła i wszyscy przysłuchiwali się z uwagą słowom czcigodnego kapłana.

— Tak, była głośna i radosna odpowiedź markiza de Lorme.

— Tak, szepnęła Ida cicho i nieśmiało.

Byli teraz złączeni na wieki.

Pani Herbert otarła skrycie łzę koronkową chusteczką.

Kiedy nadejdzie dzień ślubu ukochanej Sylwii? Gdzie ona teraz jest i jaki los ją czeka?

Starała się nie okazać tego, co się w sercu jej dzieje i udało się jej to zupełnie.

Gdy ucałowała pannę młodą, okrasił piękny uśmiech sympatyczną jej twarz, a życzenia jej tak były gorące i szczere, że poznać było. iż pochodzą one z serca.

— Niech ci Bóg wynagrodzi twoją dobroć dla biednej sieroty, kochana ciotko — szepnęła panna młoda wzruszona.

Młoda para opuściła teraz kościół, a za nią wszyscy goście.

Markiz de Lorme patrzał z dumą i miłością na piękną swą żonę.

— Przybyłem do Austrii, aby spełnić swój obowiązek — szepnął jej do ucha — a znalazłem tu skarb swój, swoje szczęście, swoją żonę.

Młoda małżonka spuściła oczy i zarumieniła się.

Przed hotelem stały także tłumy gapiących się ludzi i głośny okrzyk podziwu ozwał się z ich ust, gdy markiz wyprowadził Idę z powozu.

— Jabym nie gorzej wyglądała w tak cudnej sukni — pomyślała panna Spiller z zazdrością.

Usiedli wszyscy przy nakrytym i świątecznie przystrojonym stole. Szampan płynął obficie i wkrótce całe towarzystwo było w najlepszym humorze.

Jan usługiwał przy stole, a poczciwa jego twarz promieniała radością, tym bardziej, że on sam niemało się do tego przyczynił, że markiz mógł dziś ze swoją ukochaną przystąpić do ołtarza.

Pan Kudlich wzniósł po niemiecku toast na cześć młodej pary, a markiz po francusku na zdrowie swych gości.

Ida podniosła swój kielich i szepnęła do pani Herbert:

— Na zdrowie nieobecnych!

Łzy zakręciły się w oczach pani Herbert, ale opanowała się wkrótce i uśmiechnęła się serdecznie do Idy.

I pan Spiller przezwyciężył swój wstręt do oracji i przemówił do młodej pary, chwaląc narzeczoną tak, że aż małżonką jego wpadła w zazdrość.

Opanowała się jednak i cieszyła się już na myśl, jak jej panie Bullmann, Linzel i Steingräber będą zazdrościły tej znajomości z markizostwem.

Jetka była z Hanią i Terenią w kościele i wszystkie trzy promieniały z radości nad szczęściem swej dobrej panienki.

Po skończonej uczcie, uścisnęła pani Herbert Idę i rzekła:

— Moja kochana, teraz trzeba nam się rozłączyć. Zostawiam cię pod opieką kochającego męża, a sama muszę wrócić do swego biednego uwięzionego. Niech was Bóg ma w swej opiece.

Ida chciała zatrzymać ją jeszcze przynajmniej kilka dni, ale pani Herbert odparła:

— Nie mogę męża swego nadal samego zostawić i tęskno mi za nim. Ale pominąwszy to, nowożeńcom najlepiej jest samym. Nie potrzebują świadków swego szczęścia. Gdy jutro wstaniecie, to ja już będę w drodze do domu.

Daremne były wszystkie prośby i nalegania Idy, przyjaciółka nie dała się przekonać.

Nim się rozstały, zdjęła pani Herbert jeszcze wieniec mirtowy z ciemnych włosów panny młodej, ucałowała ją serdecznie, uścisnęła rękę markiza i wyszła z pokoju. Nowożeńcy zostali sami.

— Moja najdroższa, jedyna! Moja słodka żono — szepnął on — przysięgam ci miłość, aż do mego ostatniego tchnienia.

— O, jak bezgranicznie szczęśliwą się czuję — szepnęła Ida — więcej prawie, niż słabe serce ludzkie znieść może!

ROZDZIAŁ CCCXX.

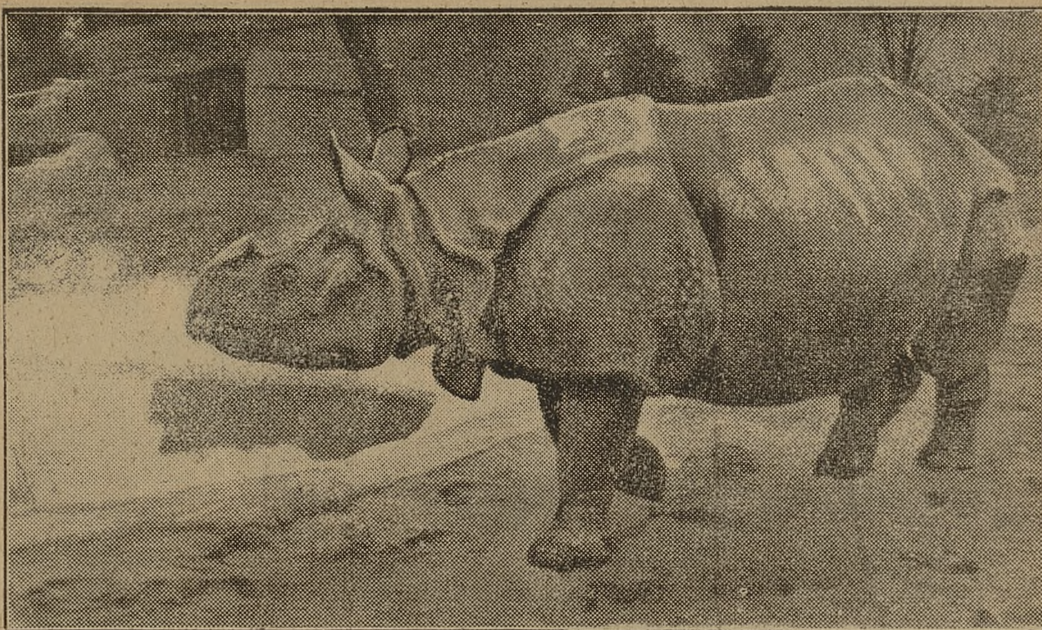
Bez chleba

Podstępna Cyganka zostawiła więźniów 3 dni bez pożywienia.

— Głód i pragnienie zmiękczą ich — tryumfowała Ilona — jestem pewna, że po takich trzech dniach hrabia będzie potulniejszy.

Nie miała pojęcia o tym, że hrabia Werner miał zaoszczędzony zapas chleba i była niemało zdziwiona zastawszy swych więźniów tak świeżych i silnych, gdy odsunęła płytę i wsadziła głowę do podziemia.

Ledwo Alojzy zobaczył twarz dawnej swej kochanki, a obecnie nieprzyjaciółki, złapał drewnianą konewkę i rzucił ją



Nosorożec indyjski — wspaniały okaz ogrodu zoologicznego Hagenbeka w Hamburgu.

na Ilonę. Ale ona odchyliła się zręcznie na bok tak, że się przed uderzeniem uratowała.

— Dobrześ celował, ale mimo tego nie trafiłeś — szydziła Ilona — jakiś ty żwawy mój Alojzy, widocznie post ci służy. Siedzisz głęboko w lochu i nie możesz mi nic zrobić. Ale poczekaj przyjacielu, jak się jeszcze kilka dni wypościsz, to będziesz potulniejszy.

— Wolę umrzeć z głodu, niż ci dać dobre słowo, ty potworze! — krzyknął Alojzy i plunął na znak pogardy.

— Jeżeli ci to przyjemność sprawia, to głoduj dalej — zawołała Ilona, a zwróciwszy się do hrabiego, zapytała:

— No, panie hrabio? Czy zmienił pan swoje zdanie i czy ożeni się pan ze mną?

— Nie, i nigdy się na to nie zgodzę! — brzmiała stanowcza odpowiedź Wernera.

— Niech pan rozważy, co pan robi! — perswadowała mu Ilona. — Jest pan przecież zupełnie w mojej mocy! Mogę pana głodem zamorzyć i dać umrzeć z pragnienia, a śmierć głodowa jest najgorszą męczarnią jakiej człowiek doznać może! Mogę pana skazać na śmierć i nikt mnie za to nie ukarze i nikt mnie za to do odpowiedzialności nie pociągnie, bo nikt tego nie zobaczy!

— Tylko Bóg! — przerwał jej Werner. — Bój się gniewu Bożego!

— Ani słowa więcej, ty nędzna istoto! — odparł hrabia pogardliwie. Wolę umrzeć w tym lochu, niż dać ci słowo.

Cyganka krzyknęła z oburzenia i ze złości zasunęła płytę.

— Niech teraz głodują — syknęła. — Pożałują tego!

Postanowiła znów dać im trzy dni głodować.

— Panie hrabio — rzekł Alojzy, gdy się Cyganka oddaliła — teraz sprawa zaczyna być poważna. Nie pojmuję pana, doprawdy! Dlaczego pan tej fałszywej bestii nie obieca wszystkiego, czego ona żąda? Nie potrzebuje pan przecież później słowa dotrzymać! Ona zaś ciągle okłamuje i oszukuje i byłoby to tylko rewanżem. Niech pan jej przysięgnie, że się pan z nią ożeni. Przymuszona przysięga nie ma wartości!

Ale hrabia odrzucił tę propozycję z oburzeniem.

— Hrabia Wildenstein nie łamie danego raz słowa — rzekł solennie. — Mogę umrzeć, ale nie umiem kłamać i udawać.

Daremne były wszystkie perswazje Alojzego, hrabia nie dał się nakłonić do okupienia wolności swej krzywoprzysięstwem.

Kasztelan zasumował się głęboko. Po pewnym czasie jednak rzekł uradowany.

— Panie hrabio, zróbmy tak: gdy Cyganka znów płytę odsunie, niech jej pan powie, że ja umarłem i niech ją pan poprosi, aby mego trupa z podziemia wyniosła. Ilona każe pewnie położyć się na łóżko, a sama zejdzie po drabinie, aby wytransportować moje zwłoki. Ja udam rzeczywiście trupa i będę leżał nieruchomo, dopóki ona do mnie nie przystąpi. Ale skoro tylko posłyszę, że ona tuż przy mnie, skoczę za nią i zaduszę ją. Potem uwolnię pana, a sam udam się do Wiednia, aby baronowi Sturmfederowi za jego łotrostwo zapłacić.

Hrabia uśmiechnął się melancholijnie i odparł:

— Ona nie da się na to złapać; zwietrzy zdradę i będzie się miała na baczności. Ile chleba jeszcze mamy?

— Tylko cztery kawałki — odparł kasztelan z grobową miną. — Panie hrabio, ja już z tego ani kęsa nie wezmę. Ja jestem do głodu przyzwyczajony, a pan hrabia tego nie wytrzyma.

— Nie, Alojzy! Podzielimy się tym na równe części — rzekł hrabia.

— Nigdy w życiu, panie hrabio! — odparł kasztelan.

— To i ja nie będę jadł — zapewniał hrabia — musimy teraz być oszczędni i rozdzielimy ten zapas na 4 dni.

Rozkroił jedną kromkę na dwie równe części i podał jedną z nich kasztelanowi i nie wziął pierwej kęsa do ust, nim się nie przekonał, iż Alojzy zjadł swoją cząstkę.

Następne trzy dni przebyli o głodzie i pragnieniu, co im bardzo dokuczało.

Jakże ciężko żałował Alojzy teraz, że hrabiego tu więził! Ale skrucha i żal jego przychodziły za późno.

Wreszcie odsunęła Cyganka znów płytę.



Joe Louis i Max Schmeling podpisali kontrakt o walkę o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej.

Alojzy wyciągnął się sztywno i nieruchomo na słomie i nie poruszył się nawet, gdy Cyganka na niego zawołała. Chciał w niej wzbudzić myśl, że już nie żyje.

— No, panie hrabio — zapytała, schylając się do podziemia — czy się pan namyślił?

Hrabia Werner nie odpowiedział jej na to pytanie, lecz zawołał ostro:

— Patrz tu, zabójczyni! oto jest twoje dzieło!

To rzekłszy, wskazał ręką na leżącego nieruchomo kasztelana.

— Co mam widzieć? — odparła Ilona zuchwale — znam kasztelana już od dawna.

— On nie żyje! — zawołał hrabia rozpaczliwym głosem. — Czy chcesz, abym dzień i noc przebywał z psującym się i cuchnącym trupem? Wynieś stąd jego zwłoki, nie mogę dłużej znieść tego widoku!

— Nie wierzę w to — odparła Cyganka — bo Alojzy zanadto wytrwały, aby umierać z odrobiny głodu. Ale wie pan co? Ja rzucę panu ostry nóż. Jeżeli pan zetnie Alojzemu głowę i pokaże mi ją, to ja uwolnię pana od obecności trupa.

Rzekła to tak spokojnie, że Alojzy zakipiał z gniewu i zapominając o swej roli, podskoczył w górę i zaczął na Ilonę krzyczeć.

— Wiedziałam, że to kłamstwo — zaśmiała się Ilona — nie myślcie, że wy mnie odurzycie! Ja mam w małym paluszku więcej rozumu, niż wy w głowie. Musicie zostać ukarani za chęć oszukania mnie. Przygotowałam tu dla was jedzenie, ale wam go teraz nie dam. Dam wam tylko trochę wody w dzbanie.

I odsunąwszy kosz, z którego dochodził zapach chleba i świeżej kawy, spuściła tylko naczynię z wodą.

Alojzy złapał je i podał wpierw hrabiemu, przyłożywszy mu do ust.

— O, od kiedyż to ty taki dbały o hrabiego? — szydziła Ilona. — Jesteś durniem i nie znasz miary ani w miłości, ani w nienawiści. O, jak ja tobą pogardzam!

— Twoja pogarda jest zaszczytem dla porządnych ludzi — odciął się Alojzy. — Odtąd hrabia ma we mnie wiernego sługę za dobroć, którą mi okazał. Wierność tę dochowam mu do śmierci.

— Głupie gadanie — przerwała mu Ilona — ręczę, że jak wam jutro albo pojutrze rzucę kawałek chleba, to się rzucisz nań jak tygrys i nie dasz hrabiemu ani odrobiny.

— Spróbuj — zawołał Alojzy — a zobaczysz, że go nie dotknę!

— Jeszcze czego! — odparła Cyganka. — Nie, pośćcie jeszcze trochę, to zmięknięcie!

Z dzikim śmiechem zasunęła znów płytę i śpiewając odeszła.

— Znowu kilka dni postu — lamentował Alojzy — a to wszystko, wina moja.

W rozpaczy bił się pięściami w czoło, piersi i przeklinał godzinę swego urodzenia. Daremnie hrabia go pocieszał, nie słuchał on nawet tego i krzyczał od czasu do czasu:

— Sam zawiniłem i mam na com sobie zasłużył! Najbardziej mnie to boli, że pan niewinnie przeze mnie tak cierpi, panie hrabio! Jeżeli pan tu nędznie zginie, to ja będę pańskim mordercą i krew pana będzie wołać o pomstę do nieba! O, gdybym pana mógł uratować, dałbym z chęcią życie za to!

Tak szalał i krzyczał Alojzy dopóki nie ochrypł i nie padł na pół zemdlony na swoje łoże.

Zapadł w ciężki sen i śniło mu się, że siedział przy suto zastawionym stole i zajadał najwykwintniejsze przysmaki.

Z tego rozkosznego snu obudziło go dotkliwe uczucie głodu. Otworzywszy oczy, zobaczył ze zgrozą, że znajduje się jeszcze w ciemnym podziemiu i jęknął słabym głosem:

— Bez chleba! — Wielki Boże, bez kęsa chleba!

ROZDZIAŁ CCCXXI.

Podczas gdy hrabia Werner cierpiał bez słowa skargi, wracała jego narzeczona z Mayerem do Europy.

Powietrze sprzyjało im i po krótkiej, szczęśliwej przeprawie, wróciła Sylwia do ojczyzny.

Za poradą Mayera, wzięli się bardzo ostrożnie do dzieła, gdyż on obawiał się zdrady.

— U barona wszystko jest możliwe — rzekł zaniepokojony — może on hrabiego zamordować i sprzątnąć jego zwłoki, gdy usłyszy, że ja wróciłem, aby świadczyć przeciwko niemu. Niech nawet pani Herbert nie wie o tym, żeśmy wrócili. Musimy zakraść się do Felseg ciemną nocą i uwolnić hrabiego, a dopiero jak nam się to uda, to rozprawimy się z baronem, który tak ciężko zgrzeszył przeciwko naszemu biednemu panu.

Sylwia podzielała zdanie swego towarzysza i zgodziła się na jego plany.

W Hamburgu kupił sobie Mayer czarną perukę i dał zgolić sobie brodę i włosy. Potem nasadził perukę na głowę, okulary na oczy i był tak zmieniony, że rodzona matka byłaby go nie poznała.

Sylwia kupiła sobie za jego radą chłopski strój i ciężkie chłopskie buty. Na głowę zaś włożyła duży kapelusz z grubej słomy.

— Teraz możemy się bezpiecznie udać w drogę — rzekł Mayer, popatrzywszy z uśmiechem na swą towarzyszkę.

— Czy zaopatrzył się pan w latarkę, wytrych, silne sznury i flaszkę wina? — zapytała Sylwia po pewnym czasie.

— Mam wszystko — rzekł Mayer, wskazując na kosz stojący obok niego na ziemi — możemy już iść spokojni!

— Właśnie czas do pociągu — rzekła Sylwia w obawie, aby się nie spóźnić.

Jazda wydawała się jej straszliwie długą i powolną. Zazdrościła ptakom ich skrzydeł, a obawa i nadzieja zmieniały się w jej sercu.

To widziała się już w ramionach swego narzeczonego i upajała się rozkoszą, to znów zdawało jej się, że zastanie Wernera trupem i straszna rozpacz napełniała jej serce.

Była tak zajęta swymi myślami, że zapomniała o jedzeniu i napoju. Lecz Mayer wyskoczył na stacji, w której pociąg kilka minut się zatrzymał i przyniósłszy trochę łakoci, tak długo ją prosił, dopóki nie posiliła się trochę.

Nie dała się jednak namówić, aby przerwać podróż dla wypoczynku. Jechali więc bez przerwy dalej, aż wreszcie stanęli późnym wieczorem w Petersburgu.

Niespostrzeżenie wysiedli z wagonu. Mayer wziął pakunki i przystąpiwszy do jednego woźnicy, zapytał po angielsku:

— Czy moglibyście nas zawieść do Königswalden? Zapłacę dobrze!

O, to jakiś zwariowany Anglik, którego będzie można dobrze naciągnąć — pomyślał zapytany z uśmiechem, a na głos odpowiedział:

— Dobrze, ale musi pan bardzo dużo zapłacić, bo już dziesiąta godzina wieczór i ja będę musiał z końmi przez noc w Königswalden zostać.

— Wie pan co? — rzekł na to Mayer. — Niech mi pan tylko wynajmie powóz i konie, a ja panu je jutro odstawię. Oto 500 zł kaucji, aby się pan nie bał o swoją własność. Ale prędko, bo nam się spieszy!

Ciąg dalszy na str. 453.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

RZEKA NIEBU

Rzeka niebu błękitem odpłaca za błękit
I płynie tak, jak płyną hen w górne obłoki —
Te cudowne, czerwonością słońca malowane loki.

I ja w twoich ócz źrenicach, słonecznej pogodzie,
Zobaczyłem toń błękitu, tak jak niebo w wodzie.
Tylko czemu pożegnałaś mnie bez chwili zwłoki?

Dzisiaj jeszcze czuję ciepły uścisk twojej ręki,
Dzisiaj jeszcze słyszę cicho w dal idące kroki,
Dzisiaj jeszcze widzę w oczach — rozmarzony błękit.

Tadeusz Rawicki.

WYJAŚNIJ MI PROSZĘ!

„Uśmiechnięta Wandulka". Odpisuję Ci, Kochanie, na wszystkie listy równocześnie i zarazem przedrukowuję wszystkie komunikaty.

Ależ ani się na Ciebie gniewam, ani też zapomniałam, że żyjesz — tylko nie mam po prostu miejsca na odpowiedzi. Dlatego samego streszczam się tak mocno.

Cieszy mnie, że tak dzielnie uśmiechem zwalczasz przykrości i nieraz zawody — wierz mi, iż to jest dobre w życiu!

W sprawie Twego zapytania daję prostą i jedyną właściwą radę. Mianowicie zwróć się do niej bezpośrednio, a na pewno nie zostawi Cię bez odpowiedzi wyjaśniającej.

No — co Ty tam ukrywasz przede mną, o czym to piszesz?...

Czy powinno się milczeć, trzymając w tajemnicy fakt czynienia czegoś dla innych? To zależy, Dziewczynko, od ważności tego, co się czyni. I doprawdy w tym wypadku nie wiem, co Ci odpowiedzieć, gdyż absolutnie nie orientuję się, o co właściwie mnie pytasz. Może mi to wyjaśnisz w następnym liście — dobrze?

Czekam więc na ten list, a teraz dziękuję Tobie i „Stokrotce" za przesłany mi bilecik z życzeniami imieninowymi i przechodzę do komunikatów:

„Halo, „Marzący Romanie"! — Odwzajemniam pozdrowienia i proszę, abyś napisał pierwszy. Przesyłam Panu śliczne pa!

„Bella Donna". Czekam na odpowiedź — czyżby list nie doszedł? Pozdrowienia i uściski!

„Smutna Iwonka" i „Smutna Ślązaczka". Obu tym Paniom zasyłam słodki uśmiech wiosenny i proszę je o listy!

Tak samo serdecznie pozdrawiam „Uśmiechnięte Kaszubianki" i „Wesołą Kokuś". Czy tę ostatnią mogę prosić o liścik?

„Mały Staś"! Czyżbyś się pogniewał, bo tak uparcie milczysz. Co jest powodem? Proszę o jakiś znak i posyłam moc serdeczności.

Moje ogromne uznanie Panu J. Baranowskiemu za wierszyk pt. „W oczekiwaniu wiosny".

Podobał mi się również wierszyk „Oddal" p. E. Ścibor - Rylskiego.

Ponadto słowa uznania przesyłam „Te - Emowi" i p. Rawickiemu i p. Czekalskiemu.

A może, a może któryś z tych panów zechciałby mi poświęcić jakiś maleńki wierszyk? Nie śmiem nalegać, ale byłabym taka szczęśliwa!

Całej „Krainie" moc pozdrowień i uśmiechów!"

ZAPOMNIJ!...

„Alpejski Fiołek". Powiedz mi, Dziecino, czy otrzymałaś już ten brakujący numer, bo co do mnie, to zleciłam przesłać Ci go jak najszybciej.

Wiele wzruszenia przysporzyło mi Twoje wyznanie — bardzo dziękuję Ci za moc serca, jaką mi okazujesz, a również za tę przeoryginalną pocztówkę imieninową. Myślę sobie, że Ty pewnie własnoręcznie ją wyczarowałaś, — prawda?

Zapewnie miłą Ci będzie wiadomość, iż włożyłam ją do albumu na pamiątkę.

Zagoi się rana w Twym serduszku, Dzieciaku mój mały — na pewno zagoi! Jednakże usilnie Cię proszę, abyś zaniechała wspomnień i rozważań na temat przeszłości. Całą siłę i wagę myśli przerzuć proszę na pogodną nadzieję dobrej przyszłości i wierz w nią!

O tamtej osobie myśl, jak o kimś zmarłym. Zmarli nie wracają, a człowiek, wiedząc o tym, łatwiej godzi się na rozstanie i... zapomina. Tak będzie i z uczuciem do tej osoby, gdy powiesz sobie raz na zawsze, że ona dla Ciebie umarła.

Uczyń to, Dziecko, i zapomnij, zapomnij!

„Zapytuję, czy jest w naszej „Rodzince" ktoś, kogo zainteresował „Alpejski Fiołek"? To niech proszę napisze kilka słów.

Panie J. Baranowski — ślę ukłony i zapytuję, czy będzie Pan łaskaw spełnić moją gorącą prośbę i poświęci mi kilka słówek w wierszyku? To samo odnosi się do Pana Adama Czekalskiego.

Miłe uśmiechy dla „Zawiedzionego"!



Zaprosiłam mą duszę na cichą rozmowę — słucha smutnej spowiedzi, opuściwszy głowę. Korowód dni przeżytych taśmą się przewija — raz chwila moja własna, raz chwila niczyja...

REFLEKSJE SMUTNEJ GODZINY

Bywają czasem chwile i godziny,
Że, gdy na ziemię opada zmierzch siny,
To mgłą zadumy zachodzą mi oczy
I ból zwątpienia serce moje toczy.

Takim samotny jest wówczas na świecie
I takie szare wydaje się życie —
Lecz desperacko zaciskam swe wargi,
Aby nie wyszły przez nie słowa skargi.

Choć ludzie z prośbą zwracają się do mnie,
(Co mnie powinno radować ogromnie)
I choć mnie cenią, szanują — a przecie —
Jam niepotrzebny nikomu na świecie.

Więc dusza moja szarpie się w udręce...
Pomocne do mnie — kto wyciągnie ręce?
Na samotnika — kto zwróci swe oczy?
Kto z nim przez drogę życia zechce kroczyć?

Kazimierz Łaganowski.

CZY TAK?

„Jaś — Sokół". Pewnie, że nie wezmę Ci za złe chwilowego milczenia, gdy ono będzie, jak w tym wypadku, usprawiedliwione nawałem zajęć!

Więc Ty dajesz również swoją kreskę na głosowanie o zjazd do Żnina — prawda?

Życzę Ci dużo powodzenia i przechodzę do Twoich tasiemcowych komunikatów:

„Wesoła Pomorzanko!" Zasyłam Ci nasze „Czołem". Do zobaczenia na zlocie! Jaki Okręg?

„Milutka Lena" — dziękuję za pozdrowienie i czekam na jakąś wiadomość.

„Wróżce Ali" zasyłam serdeczny uśmiech z uściskiem rączek. Dziękuję za pozdrowienie.

„Zofia z Gr." Prawda, że zgadłem? Liścik odebrałem. Rewanż już nastąpił.

„Danko" — dziękuję za list i proszę o podanie miejsca — od zamku.

„Urszulce spod Grudziądza" dziękuję za pozdrowienia i czekam na odpowiedź.

„Wesoła Tusiu spod Grudziądza" — pozdrawiam Cię, gdyż mieszkamy w jednym mieście. Może się znamy?

„Zofia z Gr." — Wiem kim jesteś. Dziękuję Pani serdecznie za list. Zdaje się, że pierwsze litery Pani imienia i nazwiska są Z. i B. Mieszkasz pewnie na ul. Puł. Zgadłem — prawda? Proszę o odpowiedź. I dlaczego Pani nie pisze?

„Samotnej Duszy" radzę smutki i troski rzucić w kąt, a patrzeć śmiałym okiem w przyszłość. Wierzę, że w życiu spotyka się więcej goryczy i czerni, jak słodu i miodu, lecz niemniej, nie trzeba się zbytnio przejmować. W tej myśli prześlę jej wierszyk pt. „Szkoda". Żałuję, że się nie znamy, chętnie służyłbym Pani radą.

„Samotna Myszko" — otrzymasz wkrótce list.

„Ar". Jestem również samotny — zasyłam pozdrowienia.

„Orlico" — kłaniam Ci się. Podobał mi się liścik.

Całej „Krainie" słowa pozdrowień".

WAŻNE DLA WSZYSTKICH „KRAINIAKÓW!"

„Zrównoważony Jaś"! Mylisz się trochę, Drogi Przyjacielu, twierdząc, że nie otrzymałeś odpowiedzi na swój list styczniowy i jeszcze poprzedni, bo była ona w numerze 16 (świąteczny) na drugiej stronie „Krainy" pod tyt. „Nie miejcie żalu!..."

Dałam w niej również Twoje komunikaty — te wszystkie, które teraz wypisałeś, a nawet kilka więcej. Dlatego też nie uważam za potrzebne powtarzanie ich w dzisiejszym liście, a tylko wymienię te nowsze. W porządku?

Widzisz, Przyjacielu, już zawsze staram się streszczać w odpowiedziach, aby pozbyć się zaległości, a jednak zawsze powstają nowe. Teraz postanowiłam już sobie mocno, że będę odpowiadała tylko lakonicznie tak długo, dopóki nie pozbędę się stosu listów z poprzednich miesięcy.

I w tym miejscu proszę wszystkich „Krainiaków", aby nie gniewali się o to!

A teraz bądź mi zdrów Przyjacielu Miły!

„Powtórne pozdrowienia „Krainiankom", wymienionym w komunikatach z 16 numeru „M. Powieści" oraz prośba, aby któraś z nich zechciała skreślić do mnie liścik.

Równie dużo serdeczności przekazuję dla „Sarenki" i „Ovambo".

Ponadto zapytuję całą sympatyczną „Rodzinkę", kto wybiera się w tym roku w lecie na wakacje nad morze lub w góry — może się ktoś odezwie.

W końcu ślę milutkie pozdrowienie dla „Maryli spod Beskidu", „Orlicy", „Rozśpiewanej Izabelli", „Wenus", „Wietrzyka Wiosennego" i „Królowej Gizelli", jak również dla całej przemiłej „Rodzinki".

Wszystkich tych, którzy mieliby chęć skrobnąć do mnie liścik, uprzejmie proszę kierować listy na adres: „Okaziciel dowodu osobistego Nr. 1851 Ostrów Wlkp. — poste restante", a z przyjemnością odpowiem na każdy".

PROSZĘ ZOSTAĆ Z NAMI!

„P. K. SK. — Rossoszyca". Z przyjemnością służę Pani pomocą, oby tylko okazała się skuteczna!

Jeżeli Pani czuje się taka bardzo samotna, to proszę zostać członkiem naszej „Rodzinki" — jestem pewna, że znajdzie Pani wśród nas przyjaźń i ciepło.

Pozdrawiam Panią i zamieszczam jej apel:

„Była wychowanka internatu zwraca się do czytelniczek i czytelników „Moich Powieści", tudzież wszystkich „Krainiaków", czy może ktoś z nich zna: Marię i Helenę Zawadzkie, Stanisławę Idziak i Marię Nowak — rodaczki z Kalisza.

Jeżeli tak, to jak najuprzejmiej proszę o nadesłanie mi ich adresu!

Mój adres podaję poniżej.

Gdyby ktoś znał lub wiedział coś o wymienionych osobach, proszę o szybką wiadomość.

Ślę pozdrowienia dla p. Heli z „Zaklętego Młyna" w Roździałach, p. Ciachowej i Szyszkowej z Rossoszycy. Również szczere pozdrowienie dla „Białej Uajali", której wierszyki tak bardzo lubię czytać! Dużo w nich smutku i z tego, „Biała Uajali", tak jesteś bliska memu sercu."

Adres mój: Kazimiera Skąpska, Rossoszyca k. Sieradza.

CHWILE...

Przychodzą nieraz chwile nienazwane —
Osamotnione i niepokochane;
A mają w sobie czar kwiatów wiosennych
I uśmiech słońca radosny, promienny.

I mają w sobie rezygnację smutku
i lęk przedziwny i ukrytą trwogę.
Lecz z tego tobie nigdy s'ę nie zwierzę —
ni wypowiedzieć się z tego nie mogę.

Jest — dzień majowy, przesycony słońcem.
Radość rozkwita stulistnym pąkowiem...
Cisza dłoń kładzie kojącą na serce
i kwitną kwiaty w baśni kolorowej...

Piaszczystą drogą wóz — chłopski się toczy
i skrzypią koła w poszumie wierzbowym...
W taki samotny poranek majowy
myślę o tobie, chwilo nienazwana —
osamotniona i niepokochana!...

Józef Baranowski.

MOŻE WY — „KRAINIACY?"

„Smutna i brzydka Irka". Mała Irusiu, — trochę Cię oszukam, co Ty na to? Jak mianowicie? Otóż tak, że na wszystkie Twoje cztery listy odpowiem jednym i z rozbawionym uśmiechem czekać będę na cztery nowe w najbliższym miesiącu. Na pewno je otrzymam i... przyznam się rozbrajająco szczerze, że już na nie niecierpliwie liczę, już tęsknie ich wyczekuję! Mają w sobie tyle młodzieńczo-wiosennego uroku, tyle delikatnego humoru, że doprawdy zaczynam ich łaknąć, jak ryba wody, a ptak przestrzeni do latania.

„Fotkę"? Co uczyniłam z Twoją ostatnią „fotką" — ha? Może mi powiesz?...

Oczywiście, że uśmiech „chciałby" nie schodzić — z białego na razie jeszcze czoła, rzecz inna, że niekiedy to „cheenie" zawodzi, albo lepiej — nie wystarcza! Np. w tej chwili, gdy czytam Twoją cichą skargę na brak posady, utraconej po przeszło 3-letniej praktyce w biurze. Czy mogę się uśmiechać? Nie! Smutek przesłania mi teraz oczy, a myśl monotonnie stuka te same wciąż słowa: „Co poradzić, co poradzić?..."

Może Wy, „Krainiacy", znajdziecie jakąś radę na zmartwienie naszej Siostrzyczki? Bardzo proszę pomyśleć nad tym!

Więc Ty zgadzasz się na zjazd w okresie Targów Pałuckich — tak? Kto jeszcze?

Oj, nie! Na pewno nie stanie się tu nic przykrego Twojej ruchliwej osóbce, przeciwnie, będziesz mogła wytańczyć się wraz z resztą zjazdowiczów w pięknej sali naszych zakładów. Postaramy się przyjąć Was wszystkich serdecznie i uroz maicić Wam godziny pobytu u nas! No, ale o tym jeszcze nie mówię, bo nie wiem, czy projekt Waszych odwiedzin przejdzie! Na razie głosów jest niezbyt dużo.

A teraz pozwól, że Cię ucałuję serdecznie, raz, drugi, trzeci za te piękne żywe kwiaty, nadesłane mi w dzień Zofii. Zabiło mi serce silniej na ich widok i już tak biło silnie i radośnie przez dzień cały. Wasza to, Najdroższi Moi, zasługa!

„Lang - Cheng". Nie bój się, Moja Dziecinko, skrobnij liścik, a odpowiedź zaraz, natychmiast. Zobaczysz. Zbierz resztki odwagi i pisz liścik, że hej! Pozdrowienia serdeczne!!!"

PRZEDSTAWIAMY SIĘ „RODZINCE"

„Skromny Fiołek" i *„Wesoła Różyczka"*. Przyjmuję Was do „Krainki" i pozwalam się Wam przedstawić „Rodzince":

„Halo! Tu „Skromny Fiołek". Jestem blondynką, o śmiejących się oczach i ruchliwej figurce. Charakter mam szczery i otwarty. Kocham sport, muzykę i tańce. Życie płynie mi jednostajnie i przyznam się, że czasem dość nudnie. Może się ktoś mną zainteresuje? Odpowiedź pewna.

Teraz moje komunikaty:

„Waldy" — zainteresowałam się Tobą. Mogę prosić o liścik?

„Sokole". — Co u Ciebie nowego? Czy my się przypadkiem nie znamy? Pozdrawiam. Może napiszesz do mnie? Ponadto zasyłam pozdrowienia dla: „Basi", „Danki", „Steni z Ina", „Jesiennego Wichru", „Zefira Zachodu", „Blondynka spod Grudziądza", „Samotnego Mieszczucha" i całej „Krainy".

Mój adres: Poste — Restante, Grudziądz, dla „Skromnego Fiołka".

„A ja jestem „Wesoła Różyczka". Najpierw, jak moja przyjaciółka, wypadało by się przedstawić. Nie wiem właściwie od czego zacząć — na pierwszy ogień niech idzie mój charakter. Jest szczery i niesłychanie wesoły, co proszę mi wybaczyć. Włosy mam czarne, wijące się i oczy, zdaje się, zielone.

Mówią, żem ładna i zgrabna. Nie wiem, czy wierzyć? Uwielbiam sport, muzykę i tańce no i... jazdę na rowerze!

Lubię bardzo ludzi wesołych i szczerych, a nie smutnych i ponurych.

Kto smutny, niech napisze, a postaram się go rozweselić.

„Szyderco"! Ktoś Ty? Masz strasznie ironiczny pseudonim. Czy w życiu jesteś też taki ironiczny? Może napiszesz? Chciałabym z Tobą podyskutować.

„Młody Orle" — przyjm proszę pozdrowienia i..... przyjemnych lotów!!! Może skrobniesz.

Prócz tego zasyłam pozdrowienia dla: „Cyganki o smętnych oczach". Podobasz mi się. Napiszesz?

„Idzio z Gr." Czy my się przypadkiem nie znamy? Uśmiechy „Stepowemu Płomieniowi", „Ar", „Myśliwemu", „Sztubakowi spod lasu", „Baronowi Cygańskiemu" i całej „Kraince".

Listy proszę kierować na Poste — restante, Grudziądz dla „Wesołej Różyczki".

PRZYJM!...

„Mewka znad Warty". Mam pełne zadowolenie z tego, że zwalczyłaś wreszcie tę uporczywą grypę i możesz się mi znowu pochwalić humorem i radością życia. To lubię!

Wiem, Dziecino Moja, co znaczy nagła utrata matczynego serca i dlatego gorąco pragnę, abyś znalazła wśród nas gruntownie przyjazną duszę. A możebyś tak spróbowała korespondować z „Banialuką", „Banialuczkiem", czy „Wisią" lub „Jadzią"?

Są to „Krainianki" serdeczne i wesołe, a takie, sądzę, najłatwiej by ci przypadły do serca.

Więc znajdź już szybko przyjaciółkę i pozostań koniecznie nadal pogodną! A jeszcze jedno! Przyjm moje ucałowania za list z życzeniami!

„Loretta" — pozdrawiam Cię, może napiszesz do mnie kilka słów? Jestem wesołą i potrafię rozchmurzyć Twoje smutne czółko. Sądzę, że Ci będę odpowiadała, bo mam ten zawód, o którym wspominałaś!

„Biała Uajali" — ściskam Cię mocno! Serdeczne pozdrowienia dla „Lawrence" i „Te Ema". Może, który z panów napisze!"

Z SERCA DZIĘKUJĘ!

„Samotnej Duszy" i *„Wesołej Maruszce"* z serca dziękuję za życzenia i zobowiązuję je jak najmocniej do przysłania mi bardzo obszernego listu!

„Halo! Tu „Wesoła Maruszka"! Czy może zechce do mnie napisać „Wirryt", „Rudi 220 — 280" i „Duch puszczy"? Odpowiedź murowana!

Pozdrawiam „Samotnego Włóczęgę", „Solidnego Ślązaka", „Wesołą Pomorzankę" i wszystkie siostrzyczki i braciszków z „Krainy"!

„Halo! tu „Samotna Dusza"! „S 13" — bardzo mi przykro, że czuje się Pan nieszczęśliwy, bo wiem, co znaczy smutek i nieszczęście. Może napiszesz do mnie — podaję Ci siostrzaną dłoń.

„Meluś"! Proszę o znak z Gdyni!

Milutkie pozdrowienia dla „Elem n. Notecią" i „Samotnego — Chorzów I".

Teczka Wujka Janusza

A MOŻE?...

„Henry". Przede mną na biurku leżą dwie fotografie — „Willy'ego" i „Henry'ego". Pierwszy uśmiecha się zwycięsko i radośnie, jakby cały świat do niego należał, a Pan — zadumany i smutny patrzy gdzieś w przestrzeń, bez najmniejszego zamiaru rozpogodzenia się. A może... może, gdy znajdzie się Pan któregoś dnia na łamach „Krainy" — uśmiechnie się szczerze do tych błyszczących, jak gwiazdy, oczu, które będą chciały zobaczyć — jak wygląda „Henry"? Czy można mieć nadzieję?

Nowele? — ależ ukażą się — na pewno — tylko trochę cierpliwości! Wiersz, niestety, stracony!

A oto komunikaty Pana:

„Aloha!" Trudno mi domyśleć się ktoś Ty...

„Waldemira"! Zgadza się. Czy Stenia z R. jeszcze pamięta o mnie? Moc pozdrowień dla Pani i Steni!"

WIECZORNA RAPSODIA

Tęsknotą rozśpiewało się serce,
tęsknotą płomienną,
smutkiem zaszumiał wiatr —
szarym, niezmiennym.

I echem poleciał po polach,
powiedział wszystkim o tęsknocie,
a potem smutny —
zawisł na płocie...

Zaszeptał, bym wziął białe narcyzy
i splótł w bukiet,
czerwoną wstążką tęsknoty przewiązał
i wykuł te słowa dłutem:

„Czekam... wciąż czekam,
kiedy przyjdziesz do mnie?...
Wierzę, że wrócisz —
— wierzę niezłomnie"...

Każe, bym wysłał kwiaty
pod las... do chaty...
Ona przyjdzie dziś wieczorem —
mam zaczekać pod borem — — —

Tadeusz Multański.

Z SZCZERĄ SERDECZNOŚCĄ

„Wandzia z B." Cieszy mnie to, że jest Pani zadowolona z mego wyjaśnienia i przesłała mi znowu kilka wierszyków, z których najwięcej przypadł mi do przekonania „Nie mów mi tego..." Z szczerą serdecznością powitam nowy list Pani i nowe wiersze, które nota bene z miesiąca na miesiąc stają się lepsze.

NIE MÓW MI TEGO...

Nie mów mi tego, że minie wiosna,
Że minie młodość, że minie maj,
Nie mów, ach, nie mów, niech myśl beztroska
Bieży w upojeń radosny kraj.

Niech pod osłoną mych marzeń fali,
Młodość na skrzydłach beztroski rwie...
Że przyjdzie zmierzch z sinej oddali —
Nie mów mi tego, ach, nie mów, nie...

„Wandzia z B."

CZY ZADOWOLI SIĘ PAN?...

„Willy". Fotografia Pana nie sprawiła mi rozczarowania, bynajmniej! Zawsze wyobrażałem sobie Pana z tą dzielną postawą, jasnym czołem i pięknymi, myślącymi oczyma. Prosi Pan o rewanż? Mój Boże, to takie trudne do zrealizowania, choćby dla tego, że nie mogę robić wyjątków. Czy zadowoli się Pan obietnicą, że odwiedzę Pana, gdy będę w Warszawie i wówczas przedstawię się Panu osobiście?

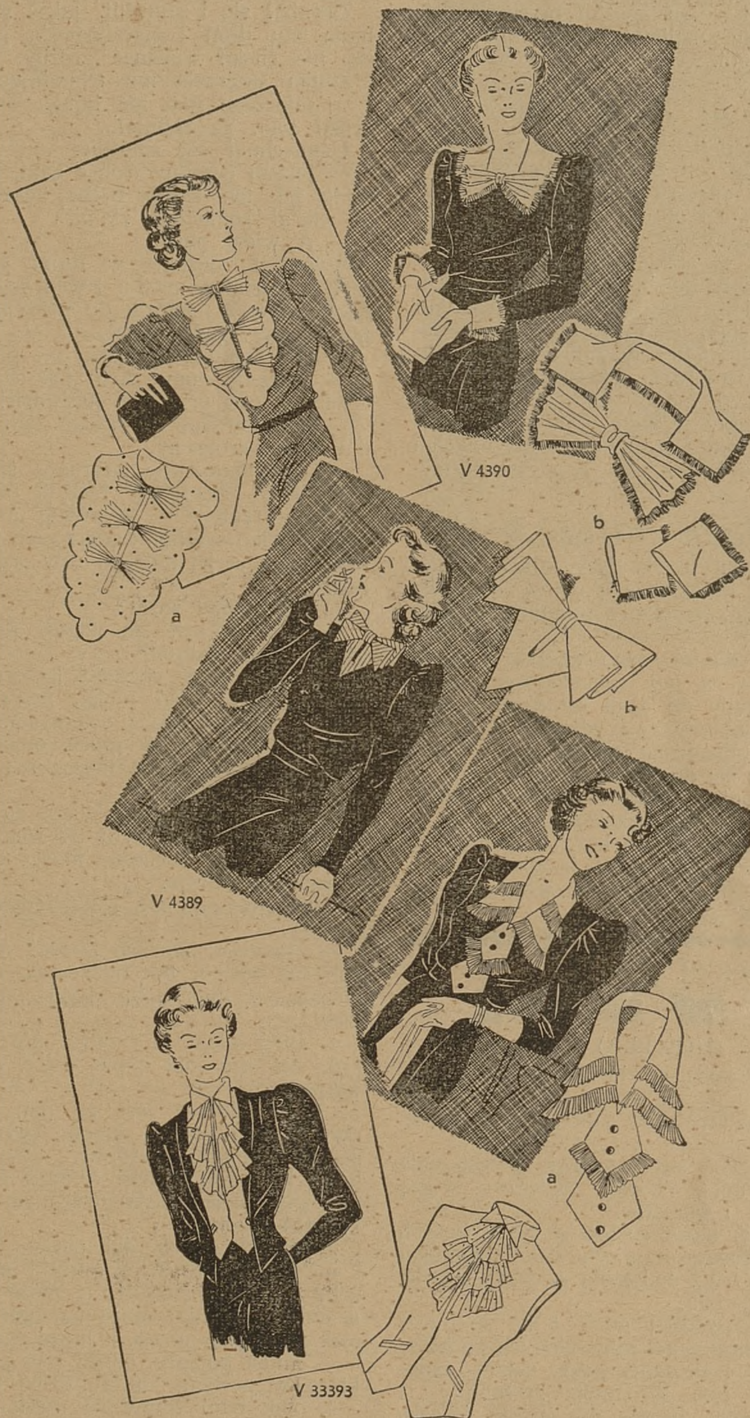
CZYŻ WARTO ŻYĆ?

„Krainie" — dedykuję.

Czyż warto żyć?
Kto z nas nie pytał,
Kto słodycz samą pił z tej czary?
Kto z księgi życia nie wyczytał,
Że treścią jej są — łzy i ofiary.
A jednak!
Choć w nim jest cierpień tyle
„Życie" — to nie jest ciemną kartą,
Bo są w nim także błogie chwile,
Dla których żyć i cierpieć — warto.

„Słodka Dary".

Raj kobiet



V 4390 a) Garnitur z cienkiego lnianego płótna, z brzegami plisowanymi; b) Na ten komplet nadaje się tafta, lub batyst jedwabny.

V 4389 a) Do sukienki o dekolcie trójkątnym nadaje się ten kołnierzyk z plisowanymi kokardkami; b) Garnitur z piki lub cienkiego lnu.

V 33393 Kamizelka z crêpe satin, lub jedw. piki, do sukienki, albo kostiumu.

KARIN MICHAELIS.

Kobietom nie wolno zrezygnować z ich praw

Oczywiście, że nie ma mowy o tym, aby kobiety znikły zupełnie z rynku pracy, stając się tylko wiernymi żonami, matkami i gospodyniami. Jeżeli w niektórych krajach prowadzi się agitację w kierunku dyskwalifikowania kobiety jako zarobkującej pracownicy, to czyni się to przeważnie w celu doraźnego zmniejszenia ogólnej liczby bezrobotnych. Gospodynie bowiem do bezrobotnych nie zaliczają się, a na ich miejsce zawsze można kogoś wsadzić... Faktycznie — tego rodzaju postępowanie nie wpływa na zmniejszenie bezrobocia, ale czego się nie robi dla zamydlenia oczu?

Błędne jest mniemanie, że podstawą idei emancypacyjnej jest praca zarobkowa dla kobiet. Nie zawsze i nie wszędzie. Są kobiety tak bardzo przywiązane do dzieci i męża, że nie mogłyby po prostu zostawiać gospodarstwa na wolę Boską i pracować poza domem, wyłączając te wypadki, gdy praca kobiety stanowi częściowe źródło utrzymania rodziny. Jeżeli jednak kobieta może sobie pozwolić na to, aby nie pracować poza domem i znajduje w domowym ognisku kulturalne zainteresowanie, wówczas jest ona tak samo samodzielna, jak kobieta zarobkująca. Ale tylko wtedy... Za wielki błąd ruchu kobiecego uważam brak jedności w dążeniu do uzyskania większych praw, które nadałyby kobiecie stanowisko w życiu godne jej znaczenia. Kobieta, której jako tako powodzi się w życiu, zapomina już o swej gorzej sytuowanej siostrze.

A tymczasem — wiele jest jeszcze do zrobienia na świecie...

Pierwszym, najważniejszym postulatem ruchu kobiecego jest ugruntowanie należytej ochrony prawnej. Pod tym względem zdawało by się, że najlepiej przedstawia się sytuacja we Włoszech, ale cóż z tego, skoro fakt nierozwiązalności małżeństwa przekreśla jednym posunięciem najsłuszniejsze nawet zarządzenia. Mężczyzna zawsze znajdzie jakąś furtkę do wolności, kobieta natomiast szybko zatraca swą samodzielność.

Ponadto we Włoszech nie wolno kobiecie zajmować się działalnością polityczną. Uważam, że postanowienie takie wyrządza krzywdę zarówno kobietom jak i państwu. Bo ostatecznie mężczyzna i kobieta wobec natury są sobie równi i łącznie są powołani do tworzenia oraz ulepszania domu i państwa.

Kobiety muszą zdobyć w polityce należny im głos oraz stanowisko, które umożliwi im wyrażenie ich woli. Na przykład w sprawie pokoju kobiety, wychowujące swe dzieci, mają przynajmniej tyle do powiedzenia, co mężczyźni. Kobiety nie zdają sobie jeszcze z tego sprawy, ale w znacznej mierze od nich zależy ze względu na ich większość, czy będziemy mieli niezadługo nową wojnę. I dojdzie do tego, bo dojść musi, że za sprawą kobiet wojny nie będzie!

Wszystko, co wyżej powiedziałam o konieczności walki kobiet w obronie ich praw, nie znaczy bynajmniej, że jestem zwolenniczką „umężczyźniania" płci pięknej, lub, że staję w obronie kobiet, pomniejszających wartość prawdziwej miłości i domowego ogniska. Przeciwnie... Jeżeli są kobiety, które starają się nadać sobie pewne męskie cechy, to przeważnie dlatego, że złamała je walka z przeciwnościami losu, że one nie mają już sił do zdobywania praw kobiecych. Pamiętać należy o jednym:

— Nie ma w rzeczywistości stuprocentowego mężczyzny — choćby on się chwalił nie wiem jak i nie ma również stuprocentowej kobiety, choćby się ona nie wiem jak krygowała i stroiła.

My, kobiety północy, bardziej jesteśmy postępowe, niż kobiety południa, a może tylko bardziej ruchliwe i czynne. W każdym razie nie zrezygnujemy nigdy ze zdobytych praw i nasze siostry, gdziekolwiek by były, zawsze i wszędzie mogą liczyć na naszą pomoc!

Zajęcia domowe, a ubiór pani domu

Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie, zmieniły się obyczaje. I tak, gdy pani domu całkowicie nie interesowała się gospodarstwem domowym, wszystko było na głowie służby. Dziś kobiety rozsądne wiedzą o wszystkim, co dotyczy gospodarstwa domowego, umieją odpowiednio ubrać się w odpowiedniej chwili. Nie będą np. pracować w domu czy w ogrodzie we flanelowym szlafroku, wywołując nieraz komiczne zjawisko, gdy w swym rozwianym szlafroku, uwijają się po ogrodzie lub pokoju.

Aby więc być praktyczną, trzeba przede wszystkim zmienić ubiór ranny. W tym wypadku trzeba pomyśleć o odpowiednim fartuszku. Każda pani ma tu możność wykazania swego gustu i smaku. Może więc być fartuch — płaszczyk z krótkimi rękawami (do łokci) z kołnierzykiem wykładanym. Ciemny wąski pasek i dwie kieszonki, oto całość.

Można pomyśleć o więcej fantazyjnym fartuszku z materiału w paski lub kratkę. Najprostszy rodzaj fartucha jest z perkalu (90 cm na 90 cm), tworzący szeroki trójkąt, przypinany u góry do stanika.

Do pracy w kuchni fartuchy powinny być raczej jednobarwne, a to ze względu na praktyczność. Nigdy nie używać na fartuchy batystu, ulubionego materiału pokojówek, ani kolorów białych. Dawać pierwszeństwo odcieniom pastelowym, bez żadnych kwiatów i groszków.

Najmodniejsze kolory pończoch na lato

Tegoroczna wiosna zakwitnie żywymi i sztucznymi kwiatami. Barwić się będą na główkach pięknych pań grządki nasturcji, fiołków i kamelii, posypie się na fularowe suknie grad zielonych groszków, różanych płatków i dzwonków liliowych. Otóż niezmiernie trudnym i zawiłym problemem jest umiejętne sharmonizowanie odcienia pończoch z kolorem sukni albo kostiumu.

Oto kilka zestawień barwnych, które mogą się przydać niejednej czytelniczce. Przy żółtym kostiumie ładnie będą wyglądać pończochy złociste, albo jasno-brązowe. Kolor turkusowy kojarzy się z odcieniem orzechu, „bois de rose". Z suknią różową harmonizuje odcień popiołu, bladego orzecha, szarego dymu. Białe spódniczki doskonale się łączą z odcieniem opalonej skóry.

Nie powinno się nigdy nosić popielatych pończoch z popielatym kostiumem. Stosowniejszy będzie kolor jasny beżowy albo kasztanowaty. Z szaroniebieskim i amarantowym kojarzy się odcień blado-żółtego dymu, albo kasztanów. Wszelkie „przydymione" odcienie ślicznie wyglądają w połączeniu z czarną suknią. Pamiętajmy jednak, że jasne pończochy pogrubiają nogę, natomiast pastelowe „przydymione" ledwie dostrzegalne — stwarzają złudzenie, że słoniowa nóżka jest smukła i strzelista.

Świat i życie

Chudzi ludzie żyją dłużej

43 amerykańskie towarzystwa ubezpieczeń na życie zajęły się statystyką śmiertelności zmarłych na rozmaite choroby osób chudych i otyłych. Na podstawie materiału, obejmującego 185.579 osób otyłych i 530.108 osób chudych, w ciągu lat 24 ułożono następującą tablicę:

Na 100.000 żyjących wypada przypadków śmierci z apopleksji, chorób serca, chorób wątroby, chorób nerek, cukrzycy — chudych 355, normalnych 651, otyłych 1.358. Stosunek: chudych 100, normalnych 183, otyłych 383. Z duru, zapalenia płuc i raka — chudych 361, normalnych 339, otyłych 352. Stosunek: chudych 100, normalnych 94, otyłych 98.

Z gruźlicy — chudych 195, normalnych 84, otyłych 23. Stosunek: chudych 100, normalnych 43, otyłych 12.

Ze wszystkich chorób — chudych 1.644, normalnych 1.870, otyłych 2.500. Stosunek: chudych 100, normalnych 114, otyłych 158. Wszystkie choroby prócz gruźlicy — chudych 1.449, normalnych 1.786, otyłych 2.567. Stosunek: chudych 100, normalnych 123, otyłych 177.

Za chudych uznano takie osoby, które ważyły mniej niż normalne o 25 funtów, za otyłych — takie, które ważyły przynajmniej o 50 funtów więcej.

Z tablicy powyższej widać, że wśród chudych cukrzyca prawie nie występuje, natomiast gruźlica 8 razy częściej, co jednak należy tłumaczyć nie tym, żeby chudzi byli skłonniejsi do gruźlicy, lecz tym, że zakażeni gruźlicą są chudzi. Natomiast na wszystkie inne choroby otyli umierają znacznie liczniej niż chudzi (2.567 — 1.449). Z tego zestawienia nie należy wyciągać wniosku, że obfite odżywianie chroni od gruźlicy, a usposabia do innych chorób, tylko że otyłość jest jedną z cech wielu chorób ustrojowych, a nie jest cechą gruźlicy. Powyższa tablica dowodzi ponadto, że z wyjątkiem gruźlicy, nawet normalnie odżywiani mają więcej szans do chorób śmiertelnych od chudych.

Choroby zależą od pogody

Istnieje stare wierzenie, iż choroby pozostają w ścisłym związku ze stanem pogody. Mimo znacznych odchyleń od prawdy, wierzenie to zostało uzasadnione naukowo.

Ze statystyk medycznych, prowadzonych przez dziesiątki lat, wynika fakt, że choroby zakaźne pojawiają się regularnie w pewnych miesiącach, a przynajmniej w pewnych porach roku.

Chorobą typowo wiosenną jest odra. Żółtaczka i malaria są chorobami letnimi, zaś różę nazwać można chorobą zimową. Najczęstsze wypadki zakaźnego tężca zdarzają się w styczniu i lutym, podczas gdy epidemie cholery osiągają punkt kulminacyjny w lipcu.

Najmniejszą ilość wypadków duru brzusznego wykazuje maj Podobnie biegunka ujawnia się najmniejszą liczbą zachorzeń w maju, który to miesiąc uchodzić może za najzdrowszy w całym roku — zaś największą we wrześniu.

Szkarlatyna pojawia się w październiku, a najrzadziej zdarza się w lipcu. To samo można powiedzieć o dyfterii, która osiąga największy rozwój w miesiącach jesiennych i zimowych, toteż nasuwa się przypuszczenie, że zbyt słabe nasłonecznienie wywiera niekorzystny wpływ na organizm ludzki, tak, jak z drugiej strony sprzyja rozwojowi bakteryj. Natomiast inne momenty, jak: ciśnienie powietrza, temperatura, wilgoć, wiatry i t. p., według dotychczasowego badania uważać można za nieodgrywające poważniejszej roli. Istnieje jednak przypuszczenie, że pewne wydarzenia elektromagnetyczne w atmosferze sprzyjają również tworzeniu się chorób.

Ze świata

Sześcioraczki!

Z Indyj angielskich nadchodzi wiadomość, że w jednej z prowincyj urodziła pewna Hinduska sześcioraczki, których stan jest dotychczas zadawalający. Matka jest kuzynką pewnego angielskiego oficera, ojciec rodowitym Hindusem.

Rzecz zrozumiała, że wiadomość ta wywołała olbrzymią sensację w Anglii, gdyż urodzenie sześcioraczków przez kobietę białej rasy należy do fenomenów.

Nowy rodzaj samobójstwa

Nowy sposób samobójstwa wynalazł w Tampa na Florydzie, Roman Perez, fabrykant cygar. Znękany ciężkim losem, postanowił pozbawić się życia. Zamiast jednak zastosować znane metody samobójstwa, postanowił przeciąć pasmo życia sposobem oryginalnym. Rozebrał się do naga i wskoczył w rojowisko szerszeni, które momentalnie osiadły na jego ciele, żądląc-go straszliwie. Na nic nie zdały się, obecnej przy tej wiwisekcji, błagania matki, by wyszedł z rojowiska. Na nic starania straży ogniowej, którą powołano na ratunek Pereza. Uparł się i dopiął celu. W okropnych męczarniach zmarł po paru godzinach.

Eksport bocianów do Anglii

W Anglii, co jest rzeczą ciekawą, nie ma zupełnie bocianów. Trudno też ustalić, co jest przyczyną, że bociany unikają tej wyspy. Faktem jest, że ich tam nie ma i nikt nie wie dlaczego. Anglicy uparli się jednak i chcą koniecznie mieć u siebie bociany, tymbardziej, że warunki życiowe w Anglii są takie same, jak i na kontynencie, Sprowadzono więc jaja bocianie z Niemiec i podłożono je czapli. Z 12 jaj wylągł się tylko jeden bocian. Lecz nie było mu sądzonem żyć, bowiem został zgnieciony przez czaplę. Ponieważ jednak czapla zaczęła karmić młodego bociana, w roku przyszłym eksperyment ten zostanie powtórzony. Pozatem ze znanej niemieckiej stacji badawczej ptactwa w Rositten ma być wysłanych 23 młodych bocianów razem z gniazdami oraz wyżywieniem do Anglii, aby i w ten sposób przeprowadzić próby, czy uda się zaaklimatyzować ród bociani na wyspach Anglii.

Lunatycy w Australii

W stolicy Australii Południowej, w Sidney, zaczęły się mnożyć od pewnego czasu sprawy sądowe o nocne spacery na dachach i gzymsach. Na rozprawach obrońcy oskarżonych dowodzili, że podsądni dokonywali ekstrawaganckich wyczynów w stanie anormalnym, podczas ataków lunatycznych, somnambulicznych. Na potwierdzenie swoich wywodów składali adwokaci świadectwa lekarskie. Sądy we wszystkich wypadkach zasięgały opinii lekarzy-ekspertów, którzy stwierdzili, że istotnie setki osób podlega od pewnego czasu somnambulizmowi. Sądy uznały jednak, że nie jest to okoliczność odciążająca zupełnie oskarżonych i wymierzyły odpowiednią karę w postaci grzywien.

Wzruszająca miłość kotki

O wzruszającym przykładzie miłości zwierząt dla swego potomstwa donoszą dzienniki z miasta Victoria, w stanie południowej Karoliny.

W jednym z domów tego miasta wybuchł gwałtowny pożar, a gdy zaalarmowana straż ogniowa przystąpiła do akcji ratunkowej, zauważono, ku powszechnemu zdziwieniu, kotkę, która — choć odpędzana od ognia — wciąż usiłowała dostać się do płonącego domu.

I wreszcie dopięła swego. Wkrótce potem ogień ugaszono i oto znaleziono na strychu opalone już z wierzchu ciało kotki, pod nim zaś nietknięte przez ogień żywe jeszcze kocięta, które kochająca matka kosztem własnego życia ocaliła przed śmiercią.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

TADEUSZ RAWICKI.

SYMBOL

(NOWELA)

Dziewczęca główka o złotych lokach wolno podniosła się ku górze. Barwa patrzących oczu i barwa celu patrzenia ta sama. Niebo i oczy błękitne.

Pierwsze szczyci się lazurową przestrzenią bez końca, drugie, chociaż maleńkie, widzą ową przestrzeń i wszystko.

Widzą wiosnę, która rozłożyła się u bosych stóp zielenią trawnika, nieco dalej klombem czerwonych róż i tuż nad złotą główką — kwitnącym krzewem bzu.

Wiosną jest wszędzie, gdzie tylko spojrzeć!

Nawet w uśmiechu ust zabarwionych na kolor dojrzałej wiśni i wchłaniających nektar zapachu. Nawet w tym skromnym życzeniu...

— Panie Romku, proszę mi zerwać gałązkę bzu.

Dwie odmienne postacie odchyliły się od siebie, zakołysały się i jedna z nich podniosła się w całej swej męskiej okazałości.

— Rozkaz, królewno, dla pani gotów jestem cały krzew oberwać z kwiecia.

— Aż tyle? Dziękuję panu, ale nie trzeba. Zadowolę się jedną małą gałązką. Maleńką, o taką — nakreśliła rozmiar w powietrzu.

— Jaka pani skromna!...

— Nie bardzo! Bo widzi pan, nie chcę skazywać na zagladę czegoś, co niewinne i takie piękne. Kto wie, czy raz zniszczony krzew wyrósłby w tym samym miejscu powtórnie?

Zamyśliła się.

— A zresztą, po co ma się pan trudzić? Czy to warto dla czyjejś zachcianki, dla czyjego, no, jakby to nazwać, czczego kaprysu?

— Dla tego może nie, ale dla pani, królewno!

Wspiął się wysoko na palcach, sięgnął dłonią po kwitnącą gałązkę bzu i jakby nieba przychylił. Zapach stał się wprost odurzający, gdy kwiaty okoliły roześmianą twarzyczkę Ziutki.

— Cudownie!... Wspaniale!... Uroczo!... zawołał.

— Jak w raju, dopełnił głosik z poza kwiecistej zasłony.

— Panie Romku, uduszę się, proszę już przestać.

Nachylił ukwiecony konar jeszcze bardziej, jeszcze niżej, jeszcze silniej.

— Złamać?

Pogroziła mu delikatnie palcem.

— Jeśli pan potem uleczy ranę, to proszę bardzo, ale tylko pod tym warunkiem!

Zawahał się i zamyślił. Jakaś siła powstrzymała mu dłoń i sparaliżowała ją. Nie mógł czy nie chciał wykonać groźby.

Ziutka spojrzała mu triumfująco w oczy.

— Dlaczego pan nie łamie. Tak pochopnie groził pan, że złamie!...

Uśmiechnął się smutnie.

— Jestem bezsilny wobec pani, królewno, tak samo jak ten krzew byłby bezsilny, gdybym go chciał koniecznie złamać.

— A widzi pan!

Wypuścił więzione w dłoni gałązki. Zatoczyły z rozmachem łuk i wyprostowały się ku górze, rade z powrotu do pozycji, jaką nadała im natura i już wolne!

— Oto żądana gałązka — proszę.

— Dziękuję panu. Ach, jak cudnie pachnie! I tyle się pan przy tym natrudził!

— Nie bardzo, bo widzi pani to wszystko dla mojej królewny.

— Tak mało? — zaśmiała się przekornie.

— Skoro więcej nie raczyła przyjąć — odparł z wyrzutem. — A zresztą ta mała gałązka bzu, to tylko symbol. Żądała pani jednej iskierki uczucia, a jaj niosłem cały gorejący krzew... serca.

— Kto panu kazał?

— Sam. Siliłem się nagiąć pani serce, do swego. Czy zabrać?

Coś, jakby cień skrzydeł lecącego nad głową w słoneczny dzień ptaka, przesunęło się po twarzy Ziutki i jakieś wspomnienie przywołała myśl. Z drżeniem w głosie odparła:

— Jeśli pan potem uleczy raz zadaną ranę, to proszę... zabrać.

Romek posmutniał, wiedząc co znaczyła odpowiedź. Ryzykiem było by sięgnąć po serce, które już raz kochało, które ktoś złamał i które dotąd cierpi.

Ziuta spojrzała mu jak przedtem triumfująco w oczy.

— Dlaczego pan nie bierze? Moje serce ma pan tak blisko, tak bliziuteńko, o tu, w tym miejscu, w piersiach, słyszy pan jak głośno bije?

— Bije, wiem to, inaczej nie mogłaby pani żyć, ale czy dla mnie bije? Bardzo w to wątpię.

— Nie dziwię się, że pan wątpi w to, czy raz zniszczony krzew wyrósłby w tym samym miejscu powtórnie. Czy zakwitłby na nowo i rozsiał zapach? A moje serce jest widzi pan właśnie takim skrzywdzonym krzewem, który ktoś złamał.

Zapatrzył się w dal parku.

— Kto to wie? — odrzekł po chwili. Możeby wyrósł i zakwitł, a może tylko wyrósł, a może i to nie! Może na zgorzelisku — domek powstałby nowy, a może znowu zgliszcza?

— Kupa popiołu, chciał pan powiedzieć, nad którą w pewien smutny dzień zakracze kruk.

— Jak pani tragicznie myśli...

— Tak, jak pan to tragicznie powiedział.

— Ale nie wspomniałem o kruku. Czarne pióra... nie do twarzy było by w nich zielonej wiośnie.

— Ale do twarzy smutnemu sercu.

— Ha trudno, westchnął, nic nie poradzę, skoro się pani uparła nosić żałobę wbrew rozsądkowi, chyba kilka perełek łez dla kompletu.

Udała, że nie słyszy ostatnich słów, a może naprawdę nie słyszała, zajęta w tej chwili czymś innym.

— Panie Romku, widzi pan — wskazała na zarumienione tło nieba — żórawie... O, już nikną, szkoda! Zapóźno spostrzegłem! Taki cudny widok... lecące kluczem żórawie!

Niebawem zniżą lot i siądą gdzieś daleko, nad cichym jeziorem. Nadbrzeże trzciny i sitowia zaszumią, woda zapluszcze i ozwie się rechot żab.

Tak będzie tam, nad jeziorem! A tu? Jak będzie tu, panie Romku?

Ujął jej małą dłoń i zamknął ją w swej męskiej potężnej dłoni.

— Jak będzie tu? To łatwo przewidzieć, królewno! Wieczór się zbliża, zorze już gasną. Za chwilę ukryty w krzewie bzu słowik oczaruje wszystko swym śpiewem. I czyjeś usta poszukają w pachnącym półmroku... wiśniowych ust. — Ot, jak będzie tu, u nas!....

KONIEC.

To rzekłszy, rzucił mu banknot 500 guldenowy.

Sprzedał w Hamburgu jeden ze swoich diamentów i dostał zań kilka tysięcy reńskich. Nie chodziło mu więc o tych kilka setek.

Właściciel wozu i koni spojrzał podejrzliwie na banknot i dopiero, gdy się przekonał, że jest prawdziwy, wsadził do kieszeni i zaczął zaprzęgać konie.

Mayer pomógł Sylwii przy wsiadaniu, a potem wskoczył na kozioł i popędził konie.

— Najlepiej by było, aby wcale nie wrócił — pomyślał właściciel, patrząc na odjeżdżających wózkiem. — Ale chociażby wrócił, to mogę go porządnie nabrać — pocieszał się w myśli.

— Teraz zajedziemy do samego zamku szepnął Mayer Sylwii — jak piorun z jasnego nieba.

Sylwia nie odpowiadała. Ze złożonymi rękoma i ze łzami w oczach patrzała w niebo i prosiła Boga w gorącej modlitwie, aby jej pozwolił uwolnić Wernera.

I Mayer miał podobne myśli.

— Pozwól Boże, abym go uwolnił z tego strasznego więzienia, do którego go wtrąciłem — mruczał, modląc się o pomoc Boską.

Nie mogąc doczekać się tej chwili, poganiał konie, co tylko mógł i pędził galopem.

Ale Sylwii i to jeszcze było za wolno. Drżała na całym ciele na myśl, że wkrótce los jej się rostrzygnie. Przycisnęła rękę do bijącego głośno serca, które omal nie wyskoczyło z jej piersi.

A gdybym tak Wernera trupem zastała? strzeliło jej nagle do głowy. Czuła że nie przeżyłaby tego i serce jej pękłoby z rozpaczy i żalu.

Gdy na wieży wybiła jedenasta, zajeżdżali do Felseg.

Sylwia była trupio blada, a oczy jej błyszczały jak dwie gwiazdy.

Wreszcie zobaczyli rysy zamku w świetle księżyca.

Mayer zatrzymał konie i pomógł Sylwii przy wysiadaniu.

Potem odprzągł konie, zdjął z wozu duży kosz i podążył szybko w stronę zamku. Sylwia postępowała za nim.

Gdy się nasi nocni wędrowcy zbliżyli do zamku, wyjął Mayer szmatę, nasmarowaną dziegciem i wydusił nią szybę w oknie.

Na szczęście okiennice nie były pozamykane, gdyż Ilona czuła się zupełnie pewna w tym ustroniu.

Ta pewność i nieostrożność miała się stać jej zgubą.

Wycisnąwszy cicho szybę i otworzywszy jedno skrzydło okna, zaświecił latarkę i wskoczył przez okno do pokoju. Potem podciągnął kosz i pomógł Sylwii wskoczyć.

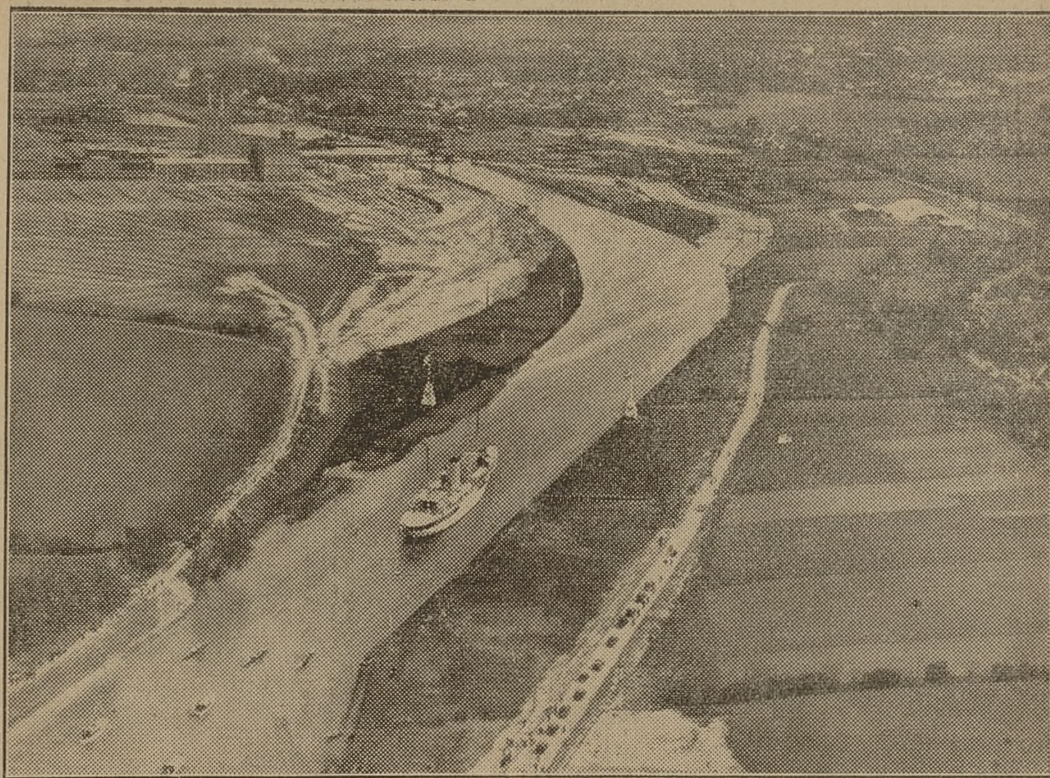
Zamknąwszy się dla ostrożności od środka, przeszli cały rząd pokoi aż do ostatniego.

Klęknąwszy na podłodze, zaczęła Sylwia kamiennej płyty szukać.

Wreszcie doszukała owej ruchomej płyty, odsunęła ją i zobaczyła przed sobą otwór do podziemia.

Mayer otworzył tymczasem szafę, w której schowana była drabina i spuścił ją na dół.

Sylwia chciała zawołać Wernera po imieniu, ale głos jej nie dopisał.



W Danii otwarto ostatnio nowy kanał, widoczny na zdjęciu z lotu ptaka.

Zeszła więc prędko po drabinie, a Mayer podążył za nią z latarką w jednej, a z koszem w drugiej ręce.

Blask latarki obudził więźniów.

— Ratujcie hrabiego — mruknął Alojzy słabym głosem i zemdlał.

Hrabia podniósł się na swym łożu i oglądnął się zdziwiony.

— Kto to? — spytał on ,nie wiedząc, co ma myśleć.

Wtedy Sylwia zdarła gęsty welon ze swej twarzy i z dzikim okrzykiem padła w objęcia swego kochanka.

— Mój Werner! — zaszlochała namiętnie — mój kochany drogi Werner! Czyż tak cię muszę zastać?

— Sylwio, kochanko! — jęknął hrabia Werner — Bóg nas przecież nie opuścił i zesłał nam anioła, który nas uratuje!

— Chodź pan na górę, panie hrabio — rzekł Mayer — niech pan ani sekundy dłużej nie zostaje w tym okropnym więzieniu.

Otworzył flaszkę z winem i dał się hrabiemu napić. Nieszczęśliwy więzień wychylił chciwie kielich aż do dna i rzekł:

— Dajcie Alojzemu także się napić!

Mayer pochylił się nad omdlałym i natarłszy mu czoło i pulsy winem, wsączył mu kilka kropel do ust. Alojzy otworzył oczy.

— Jesteśmy wolni, Alojzy — zawołał hrabia promieniejąc radością — moja narzeczona nas uwolniła!

Słysząc to, dowlókł się kasztelan do jej nóg i klęcząc przed nią, błagał:

— Proszę mi wybaczyć panienko! Ja ciężko zgrzeszyłem, ale szczerze tego żałowałem!

— Skąd wy się tu dostaliście Alojzy? — zapytała zdziwiona — sądziłam, że wy więzicie mego narzeczonego, a wy tymczasem jesteście razem z nim uwięzieni?

— Ilona mnie tu wtrąciła — odparł Alojzy — ach! panienko, proszę się nade mną zlitować i przebaczyć mi.

— Wybaczam — rzekła Sylwia — w chwili, w której mi Bóg oddał mego narzeczonego, nie mogę się na nikogo gniewać i do nikogo nie mam żalu!

Uścisnęła znów swego narzeczonego i szepnęła:

— Kochany, chodź, wyprowadzę cię własną ręką z więzienia, w którym tak długo biedowałeś!

Oparty na ramieniu swej narzeczonej wywlókł się nieszczęśliwy więzień z strasznego podziemia.

Mayer podał Alojzemu trochę wina i kawałek chleba i wyszedł z nim po drabinie, za parą narzeczonych. Mayer nie zapomniał też swego kosza.

— Daj pan hrabiemu coś zjeść — mruknął Alojzy i wesprzyj mnie, bo upadam. Jesteśmy pół zamorzeni głodem. Nie wiem wprawdzie, kim ty jesteś, ale widzę, żeś nam życzliwy.

— Jestem Mayer — odparł tenże — wierzę, że mnie nie poznajesz, bom się umyślnie zamaskował.

— Ach, to ty jesteś Mayer — zawołał Alojzy — i panna Sylwia cię z Ameryki przywiozła?

— Tak, ona to uczyniła! — odparł Majer poważnie. — Jest ona perłą wszystkich kobiet! Miłość naprawiła zło, spowodowane nienawiścią!

— Ona jest aniołem! — szepnął Alojzy. — Daj mi jeszcze trochę wina, niech się pokrzepię, abym mógł dokonać dzieła zemsty!

— Co chcesz począć? — spytał Mayer zaciekawiony.

— Muszę zamordować tę podstępną Cygankę — zawołał Alojzy ponuro.

Słyszała to Sylwia i odwróciwszy się, rzekła:

— Ilona jest pod moją opieką, Alojzy! Możesz ją związać i uczynić nieszkodliwą, ale ani włosa z głowy jej ruszyć nie śmiesz, jak nie chcesz ściągnąć nowej zbrodni na swe sumienie. Z jej to winy mój biedny ojciec siedzi w więzieniu, bo to ona podłożyła wtedy ogień pod leśniczówkę, o co później ojca oskarżono. Nie ujdzie ona karze, ale musi wpierw zeznać przed sę-



Europejska reprezentacja bokserska, która stoczyła dwa mecze w Stanach Zjednoczonych. Trzeci od prawej, stoi Polak Kolczyński, który odniósł dwa sensacyjne zwycięstwa nad przeciwnikami amerykańskimi.

dziami swą winę. Tylko tym sposobem bowiem może ojciec mój odzyskać splamione swe dobre imię!

— Zrobię, co panienka rozkaże, gdyż panienka od śmierci nas wyratowała — rzekł Alojzy pokornie — ale w innym razie, ta przebrzydła Cyganka, ani chwili dłużej by nie żyła!

— Żadnych gwałtów, Alojzy — przestrzegał hrabia, zwiąż ją tylko!

— Oto sznury — rzekł Mayer, wyciągając je z kosza — możesz nimi spętać tę tygrysicę tak, aby ani palcem ruszyć nie mogła!

— Czekajcie na mnie — mruknął Alojzy, trzeba ostrożnie zajść, aby się ona nie zbudziła i nie uciekła. Ona wolałaby skoczyć dobrowolnie w najgłębszą przepaść, niż wpaść w moje ręce!

To mówiąc, zdjął ciężkie buty z nóg i zawiesiwszy sznury na ramię, poszedł za nimi.

Sylwia odprowadziła swego narzeczonego do kanapy, na którą hrabia padł osłabiony.

Z wyrazem największej miłości i współczucia, odgarniała ona mu długie włosy z czoła.

— Mój biedny Wernerze! Mój najdroższy! — szepnęła ona — jakiś ty blady i wynędzniały!

— Niedostatek, okropne powietrze, a nade wszystko obawa, że będę musiał zginąć w tym strasznym podziemiu, tak mnie z nóg zwaliły — odparł hrabia — ale teraz wszystko się zmieni. Mój zbawczy aniele, moja ukochana! Czy to naprawdę ty, czy ja nie śnię? Ach, ja nie odważam się jeszcze wierzyć w swoje szczęście!

— Nie jest to sen, lecz rzeczywistość, kochany Wernerze! — odparła Sylwia, tuląc się do niego czule. Jakiś ty blady!

Mayer wypakował tymczasem z kosza trochę biszkoptów, napełnił znów kielich winem i podając to hrabiemu, rzekł:

— Proszę wypić i zakąsić, panie hrabio, to stare wino, wzmocni i pokrzepi pana.

— Skosztuj — prosił Werner swą narzeczoną.

Sylwia dotknęła kielicha ustami i podała go później swemu narzeczonemu.

Werner wypił i przekąsił biszkoptem, który mu Sylwia podała.

Potem objął ją wpół i szepnął jej do ucha zapewnienie miłości.

Sylwia oparła głowę swą o jego ramię i słuchała uszczęśliwiona słodkich jego szeptów.

Podczas, gdy kochankowie oddawali się zupełnie szczęśliwej chwili ponownego znalezienia się, skradał się Alojzy po cichu do pokoju Ilony, gdzie zwykła była sypiać.

Drzwi do tego pokoju nie były na klucz zamknięte.

Alojzy pocisnął ostrożnie klamkę i wszedł zupełnie cicho do pokoju. Uczynił to ze zręcznością i ostrożnością pantery.

Światło księżyca padało na łoże Ilony. Ze złowrogim błyskiem w oczach, przypatrywał się Alojzy regularnym, pięknym rysom Cyganki.

Leżała zupełnie ubrana, a sny jej nie musiały być przyjemne, gdyż czoło jej było zmarszczone, a na pięknej jej twarzy malował się wyraz nienawiści i mściwości.

Zbliżywszy się do jej łoża na palcach, złapał on lewą ręką obie jej ręce i związał je silnym sznurem. Zrobił to z nadzwyczajną szybkością.

Za pierwszym dotknięciem otworzyła Ilona oczy i skoczyła jak sprężyna na swoim wygodnym łożu.

Z ust jej wyrwał się dziki okrzyk trwogi, skoro tylko poznała człowieka, którego tak okropnie podeszła i rozczarowała.

— Czyś użył szatańskiej pomocy? — spytała ona i zaczęła mu się z wszystkich sił wyrywać.

Lecz zapóźno. Ręce jej były już spętane, a teraz zabierał się Alojzy do spętania jej nóg. Uczynił to tak szybko i silnie, że sznury wgryzały się w jej ciało, co sprawiało jej dotkliwy ból.

Żaden jęk nie wyrwał się jednak z ust Cyganki. Oczy jej tylko pałały, a usta drgały konwulsyjnie.

— Jaki diabeł został z piekła wysłany, aby cię uwolnić? — wycedziła z wściekłością.

— Nie bluźnij dziewczyno — zawołał Alojzy groźnie — to anioł nam się ukazał, w chwili największego udręczenia, a aniołem tym jest narzeczona hrabiego Wildensteina.

— Ta znienawidzona jest znowu tutaj? — jęknęła Ilona. — O, teraz wszystko stracone! Ciemny aniele śmierci, usłysz mą modlitwę. Schyl się nade mną i dotknij się czoła mego swymi ustami! Powitam cię jak narzeczonego!

— Oho! — zaśmiał się Alojzy. — Teraz sobie życzysz śmierci, ale ona nie przyjdzie na twoje zawołanie. Będziesz żyła aby widzieć szczęśliwą swą rywalkę w ramionach narzeczonego, którego ś jej gwałtem odebrać chciała.

Wróciwszy do swoich towarzyszy, doniósł im, że Cyganka związana.

Hrabia siedział jeszcze na kanapie i pełną piersią wciągał świeże powietrze, które tu wchodziło przez otwarte okno.

— Ach, jak to orzeźwia! — rzekł, przychodząc widocznie do siebie — Jak szczęśliwym teraz jestem! Skończyła się bieda, a u twego boku, Sylwio droga, życie me będzie zasłane różami.

— Czyś dość silny, abyś mógł opuścić ten straszny zamek? — spytała Sylwia Wernera — mamy wóz i konie, które Mayer przed sam zamek przyprowadzić nam może.

— Nim Felseg opuszczę, muszę raz jeszcze zejść do podziemia, bo mam tam bardzo ważne papiery — odparł hrabia.

— Gdzie są te papiery? Ja pójdę po nie — rzekł Mayer usłużnie — niech pan tam nie wraca!

— Papiery te leżą związane w moim sienniku — odparł hrabia, a Mayer pobiegł spiesznie.

Alojzy zaś pobiegł do kuchni, i wyjąwszy z kredensu zimną pieczeń i kawałek chleba, przyniósł to hrabiemu.

— Proszę jeść panie hrabio — rzekł on, błagalnym tonem — a ja tymczasem zrobię świeżej kawy, która bardziej pokrzepia niż wino.

To rzekłszy, wrócił prędko do kuchni.

— O, Boże, co on w tym czasie przecierpieć musiał — westchnęła Sylwia — a to wszystko tylko z wierności dla mnie.

Z trudnością wstrzymała się od łez i prosiła Wernera, aby jadł.

Hrabia uczynił zadość jej prośbie, a tymczasem wrócił Mayer z papierami, które Werner starannie wsunął do kieszeni swego surduta.

— Panie hrabio — rzekł Mayer wróciwszy z podziemia — ja ciężko przeciwko panu zgrzeszyłem, ale świadczę się Bogiem, że nie wiedziałem co czynię, gdym pana na rozkaz nieboszczyka dziadka pańskiego, do tego więzienia wtrącał. Wiem, że mi pan tego nie wybaczy i cierpliwie zniosę każdą karę, którą mi pan wyznaczy.

— Wybaczam ci z całego serca, bo widzę szczerą twą skruchę — odrzekł hrabia, a Sylwia potakiwała uradowana.

— Wrócił on umyślnie z Ameryki, aby cię uwolnić, Wernerze — rzekła ona wzruszona.

— Jak mam panu za to przebaczenie dziękować, panie hrabio — zapytał Mayer uradowany.

Schylił się pokornie i zaczął hrabiego całować po rękach.

Aby położyć koniec jego wynurzeniom się, kazał mu hrabia wrócić do Ilony i strzec jej, aby ona się podstępem z pęt nie uwolniła.

Mayer wyszedł, aby spełnić rozkaz hrabiego i para narzeczonych została sama.

Blade światło księżyca wpadało przez okna, a Sylwia nie spuszczała z oka swego narzeczonego.

Jak się rysy jego zaostrzyły! Jaki on wybladły! Czy to możliwe, aby Werner przyszedł do siebie, choćby przy najlepszej pielęgnacji?

Westchnęła ciężko i postanowiła poświęcić się zupełnie swemu narzeczonemu, dopóki nie zagoi mu ran, przez okropny los zadanych.

— To wszystko przeze mnie — powtarzała — bo dziadek twój kazał cię tylko dlatego wtrącić do więzienia, aby przeszkodzić dalszym stosunkom twoim ze mną!

— O, ci krótkowidzący ludzie, którym się zdaje, że muszą grać rolę Opatrzności — zawołał Werner — ty jesteś tak samo szlacheckiego pochodzenia jak ja, Sylwio! Czy czujesz się dość silna, aby usłyszeć ważną wiadomość?

— Co chcesz tym powiedzieć? — szepnęła Sylwia przerażona.

Wtem przypomniały się jej te anonimowe listy, w których obiecano poinformować ją, co do jej kochanej matki.

— Czy Herbertowie nie są moimi rodzicami? — zapytała ona trwożnie.

Hrabia Werner wziął ją w swoje objęcia i czule do siebie przycisnął.

— A gdyby tak było, ukochana moja! — szepnął on jej do ucha. — Gdybyś nie była córką biednych leśniczych, lecz członkiem arystokratycznej rodziny Wildensteinów?

— Jakżeż by to było możliwe? — spytała młoda dziewczyna zdumiona.

— Słuchaj, droga moja! — prosił ją hrabia. Mój dziadek miał siostrzeńca, hrabiego Ernesta Wildensteina, który nie miał rodziców, a dziadek mój był jego opiekunem. Hrabia Ernest nigdy nie był zupełnie zdrowy, a w jesieni 1865 pokazały się u niego wyraźne ślady suchot. Lekarze wysłali go do południowej Francji. Tam poznał się z panną Desire Saint Cir i poślubił ją potajemnie w kwietniu 1866. Cichy ślub ich odbył się w kościele św. Szczepana. Związek ten trzymano w tajemnicy i tylko markiz de Lorme, który był świadkiem ich ślubu, wiedział o tym. Nie wiem, co się później stało. Wiem tylko, że hrabia Ernest umarł wkrótce po ożenieniu się. Jego młoda żona chciała się udać pod opiekę jego krewnych, ale inaczej chciały nieba. Nie miała ona zobaczyć zamku Wildenstein, gdyż zachorowała w jego pobliżu, gdzie się dobra para leśniczych nad nią zlitowała i w słabości ją u siebie pielęgnowała. Pod dachem owych leśniczych tyś się urodziła, moja droga! Pod ich dachem matka twoja umarła!

— Najdroższa matko — szlochała Sylwia — czyż musiałaś tak wcześnie zejść z tego świata i osierocić mnie? Nie miałam dotąd pojęcia, że jestem sierotą bez rodziców!

Była tak oszołomiona tą wiadomością, że nie przyszło jej nawet na myśl zapytać narzeczonego, skąd ma te wiadomości.



Król belgijski Leopold wziął udział w wielkich manewrach armii belgijskiej.

Myśli jej zwróciły się ku zmarłym rodzicom, których gorzko opłakiwała.

Gdy Alojzy wszedł do pokoju z kawą, zdziwił się niemało, widząc Sylwię taką zapłakaną.

— Dlaczego wielmożna panienka taka nieszczęśliwa? — spytał on zaniepokojony. — Przecież teraz już wszystko będzie dobrze, a da Bóg, to dowiedziemy też niewinności pana leśniczego. Nie ma wątpliwości, że to Ilona podłożyła ogień i że uczyniła to z rozkazu barona, który ją za to wynagrodził. Jeżeli pan Herbert nie jest rodzonym ojcem pani, to przecież był on dla pani zawsze jak ojciec, tak dobry i kochający.

— Alojzy ma rację — zawołał hrabia — mamy święty obowiązek zwolnienia go z więzienia. Jedźmy natychmiast do Petershagen, a ja użyję całego swego wpływu, aby go uwolnić. Ten, który tak po ojcowsku się znalazł dla mojej narzeczonej, nie śmie dłużej niewinnie cierpieć.

Dopiero myśl spełnienia obowiązku wobec żywych, skłoniła Sylwię do osuszenia łez po zmarłych, a drogich jej istotach.

— Ojciec, drogi ojciec! — rzekła ona serdecznie — chwała Bogu, że będziemy go mogli uwolnić i uszczęśliwić tym mamę. O, jakaż mama będzie uradowana! Jacy oni byli poczciwi dla mnie, że mi nigdy nie dali uczuć, że nie jestem ich własnym dzieckiem! Jak to było szlachetne z ich strony!

— Niech się pan hrabia napije przedtem trochę kawy — rzekł Alojzy i podał hrabiemu Wernerowi garnuszek ciepłego napoju, który hrabiego widocznie pokrzepił i ożywił.

Wypiwszy podwójną porcję, rzekł hrabia:

— Czuję się teraz dość silnym, aby móc do Petershagen pojechać.

— Muszę powiedzieć Mayerowi, aby z wózkiem aż pod sam zamek zajechał — rzekła Sylwia — wstając z krzesła.

Wszedłszy do pokoju, w którym Mayer strzegł Ilony, dała mu potrzebne zlecenia, a Cyganka obrzuciła szczęśliwą swą rywalkę jadowitym spojrzeniem.

— Czekaj, czekaj! — syknęła przez zęby — ja ci się jeszcze odpłacę!

Sylwia nie odpowiedziała na tę groźbę i wyszła z pokoju razem z Mayerem.

Ledwo Cyganka została sama, zaczęła się szamotać, aby się uwolnić z więzów, ale Alojzy tak silnie ją związał, że przez jej usiłowania sznury tylko jeszcze głębiej w ciało jej się wpijały i szalony ból jej sprawiały.

— O, gdyby tak mieć przy sobie truciznę — jęczała ona — wolałabym tysiąc razy śmierć, niż być w rękach swych wrogów!

Lecz śmierć nie przychodziła!

Natomiast wszedł Mayer z Alojzym, aby ją na wóz wynieść.

Po drodze, gdy Alojzy niosąc ją, pochylił się nad nią, wpiła ona swoje ostre zęby w policzki, a potem syknęła:

— O gdybym ci tak serce z piersi twych wyrwać mogła!

— Wierzę, że nie bałabyś się świeżego mordu, ty podła zbrodniarko — zawołał kasztelan — ale miara twoich grzechów już pełna. Odwiozę cię do więzienia, a stamtąd pójdziesz wprost na szubienicę.

Odpowiedziała mu wzrokiem pełnym nienawiści.

Położywszy ją na wozie, przymocował ją Mayer jeszcze mocniej sznurami.

Sylwia i hrabia Werner, siedzieli już na przednim siedzeniu.

Na drugim usiadł Alojzy i Mayer, wziąwszy Cygankę między siebie.

— Tak będzie najpewniej — szydził Alojzy — będziemy uważać na ciebie, koteczko, abyś nie wypadła!

Ilona zaklęła głośno, potem umilkła.

Tak wyjechali oni razem w ciepłą noc letnią. Hrabia patrzał z zachwytem w niebo i upajał się czarem świata, którego tak długo nie widział.

Srebrne światło księżyca dodawało naturze jeszcze uroku, a powietrze przesiąkłe było balsamicznym zapachem.

— Jak pięknym jest świat — rzekł on wzruszony — i co za szczęście być wolnym! To świeże powietrze dodaje mi świeżych sił. Co za różnica między tym strasznym podziemiem, a tą śmiejącą się naturą! Tamto śmierć, a to życie! Zdaje mi się, jakobym zmartwychwstał! Tyś mnie uratowała, najdroższa!



„Scena z filmu afrykańskiego „Biały szwadron" realizowanego przez Włochów.

Objął ją czule, a ona oparła swą głowę o jego ramię i oddała się szczęśliwej świadomości, że ma znów swego narzeczonego, którego po tylu trudach odzyskała. Tak zbliżali się oni milcząco do Petershagen.

ROZDZIAŁ CCCXXII.

Zmartwychwstanie

Jazda ta została w niezatartej pamięci młodej pary narzeczonych.

Gdy się pierwsza jutrzenka ukazała na niebie, popatrzył hrabia Werner z uczuciem wdzięczności w niebo.

Nie miał on już prawie nadziei wydostania się na świat Boży. Do namiętnej miłości dla narzeczonej przybyło jeszcze gorące uczucie wdzięczności za uratowanie.

Była to szósta godzina rano, gdy wózek zajechał do Petershagen.

— Zajedź najpierw do więzienia — rozkazał hrabia, powożącemu Mayerowi.

Ulice były jeszcze puste, tylko tu i ówdzie przeszła kobieta z mlekiem, lub chłopak z pieczywem. Ale ktokolwiek przechodził, patrzał ciekawie na wóz ze spętaną Cyganką.

Nikt jednak nie poznał hrabiego Wildensteina w tym zaniedbanym chłopskim ubraniu, tym bardziej, że go wszyscy mieli już za umarłego.

Tak dojechali do więzienia. Mayer zeskoczył z siedzenia i pociągnął mocno za dzwonek.

Po chwili wyszedł odźwierny.

Mayer zdjął z Alojzym Cygankę z wozu i wnieśli ją do wnętrza.

Ilona wywijała się im jak wąż i miotała przekleństwami, lecz daremne były jej usiłowania wyrwania się z ich kleszczy.

— Oto Cyganka, która podpaliła leśniczówkę — zawołał Alojzy z tryumfem — teraz dopiero okaże się niewinność pana leśniczego.

— Czy się ona do tego sama przyznała? — spytał odźwierny zdziwiony.

— Nie mogę się przyznać do tego, czego nie popełniłam — krzyknęła Cyganka — on kłamie! Ja tak jestem niewinną, jak nowonarodzone dziecko.

— Jak diabeł! — szydził Alojzy, — zasłużyłaś na szubienicę nie raz, ale dziesięć razy, ty czarownico! Rozpalonymi szczypcami powinni twe ciało rozszarpać i to byłoby jeszcze mało za twoje zbrodnie!

— Proszę zameldować panu inspektorowi, że ja proszę o rozmowę z nim. Jestem hrabia Wildenstein — rzekł Werner, aby przerwać kłótnię.

Odźwierny patrzył na niego z otwartą ze zdziwienia gębą.

Co? Ten obdarty mężczyzna w grubym kaftanie i w butach, miałby być hrabią Wildensteinem?

Wpatrzył się ostro w jego twarz, a rysy te wydawały mu się coraz bardziej znajome. Rzeczywiście, było podobieństwo między nim a hrabią Wildensteinem. Lecz jeżeli hrabia żył, to dlaczego nie wystąpił wcześniej w obronie swych praw?

Sylwia musiała odgadnąć myśli odźwiernego, gdyż rzekła:

— To jest rzeczywiście hrabia Wildenstein, który tej nocy uwolniony został z 11-miesięcznego, strasznego więzienia.

— Byłem żywcem pogrzebany, a teraz zmartwychwstałem — potwierdził hrabia.

Odźwierny wydał wyrok zdziwienia i pospieszył do inspektora z tą cudowną nowiną.

— Panie inspektorze — zawołał, wpadając do pokoju swego przełożonego — stał się cud! Hrabia Wildenstein żyje, stoi na korytarzu i chce się z panem inspektorem rozmówić.

— Hrabia Wildenstein żyje? — spytał inspektor niedowierzająco.

— Żyje! — potwierdził odźwierny. — O, panie inspektorze, to dzień cudów. Hrabia przywiósł tu spętaną Cygankę, która podpaliła leśniczówkę. Prawda panie inspektorze, że my dwaj zawsze w niewinność Herberta wierzyliśmy?

— Przyprowadź mi tu tego pana, rozkazał inspektor zaniepokojony.

— Jam niewinny uwięzieniu Herberta — mruknął on do siebie — ja uczyniłem tylko to ,co mi z góry nakazano.

Na korytarzu słychać było głośne kroki. Odźwierny otworzył drzwi, przez które wszedł najpierw Mayer z Alojzym, niosąc trzepocącą się Cygankę, za nimi ukazał się hrabia Werner z narzeczoną.

Hrabia wytłumaczył inspektorowi najpierw, w jaki sposób nieprzyjaciele jego tak długo go więzić mogli ,a Mayer i Alojzy potwierdzili jego zeznania co do słowa.

Mayer zdjął perukę, okulary i rzekł:

— Teraz mnie z pewnością pan pozna, panie inspektorze!

— Stangret Mayer — rzekł inspektor zdziwiony.

— Tak, to ja — odparł Mayer — i ja swego czasu pomogłem wtrącić hrabiego do więzienia.

— A to jest Cyganka, co chciała mnie i pana hrabiego na śmierć zamęczyć — rzekł Alojzy i kopnął Cygankę nogą. Ona też podpaliła leśniczówkę!

Inspektor przysłuchiwał się temu w osłupieniu.

— Uwolnij pan mego ojca! — błagała go Sylwia.

— Ależ łaskawa panienko, ja nie mogę — oświadczył urzędnik zakłopotany — moje przepisy nie pozwalają na to!

— Ja ręczę całym swoim majątkiem za swego teścia — rzekł hrabia i daję słowo, że jest niewinny!

— Jestem o tym przekonany — odparł inspektor — a mimo tego, nie mogę działać przeciwko przepisom.

— To niech pan telegrafuje do Wiednia — rzekł hrabia Werner — i niech pan telefonicznie żąda uwolnienia Herberta. Nam zaś pozwoli pan zaczekać na odpowiedź w celi mego teścia.

Inspektor przyjął tę propozycję.

Kazał zamknąć Cygankę i bacznie jej strzec, a hrabiego i Sylwię zaprowadził sam do celi Herberta.

Sylwia rzuciła się przybranemu swemu ojcu na szyję.

— Ojcze, kochany ojcze! — szlochała ona — za kilka godzin będziesz i ty wolny. Popatrz, oto Werner, który w gorszym jeszcze więzieniu się męczył, niż ty!

Pogłaskała go po siwej głowie, jak kochające dziecko, i zaczęła opowiadać swoje przejścia, a Herbert i hrabia słuchali w naprężeniu.

Tymczasem Alojzy, — który teraz ciągle był głodny, zwrócił uwagę Mayera na to, że i państwu smakowałoby śniadanie po tak długiej przejażdżce.

Mayer nie dał sobie dwa razy to powiedzieć i pobiegłszy do najbliższej cukierni, przyniósł stamtąd śniadanie. Zostawił dziesiątkę jako kaucję, że przyniesie naczynie, ale nie zdradził się z tym, dokąd śniadanie to niesie.

Wkrótce siedzieli Herbert, Sylwia i hrabia przy wonnej kawie i dobrej babce, a Alojzy i Mayer śniadali także w osobnej celi.

Po kilku godzinach przybiegł inspektor uradowany do celi Herberta i zawołał:

— Gratuluję państwu! Właśnie dostałem z Wiednia odpowiedź, aby pana Herberta uwolnić ,gdyż odkryto właściwą podpalaczkę. Jesteś pan więc wolnym!

— Wolny! — jęknął Herbert. — Magdaleno!

Pierwszą jego myślą była radość jego żony, gdy się tak niespodzianie u niej zjawi!

— Chodźcie do matki, dzieci! rzekł wesoło.

— Wóz czeka przed domem — zawołał nadchodzący Mayer — czy mam zawieźć państwa do kamienicy Kudlichów?

Herbert skinął potwierdzająco głową i w kilka chwil później pędził wóz szybko ulicami Petershagen.

— Wieziemy cię w tryumfie do domu, kochany ojcze — rzekła Sylwia uradowana — a jak szczęśliwą będzie mama!

— Po deszczu następuje pogoda — odparł hrabia Werner, patrząc czule na swą narzeczoną.

Tymczasem rozniosła się po całym Petershagen wiadomość o wypadkach tej nocy.

Grupami stali godni obywatele Petershagen, przed swoimi domami omawiali te zajmujące nowiny. Szewcy i krawcy wstawali do swej roboty i przystępowali do gawędzących po ulicach ludzi, aby także usłyszeć, co się nowego stało.

— Hrabia Werner Wildenstein żyje! Herbert uwolniony z więzienia! — te dwie nowiny szły z ust do ust.

Gdy teraz przejeżdżał wóz ulicą, poznał jeden stolarz Herberta i zdjąwszy nisko czapkę zawołał:

— Hurra! Niech żyje pan leśniczy!

Tłum ludzi zawtórował z entuzjazmem i wielu z nich popędziło za wozem, krzycząc ciągle:

— Niech żyje! Niech żyje!

Mężczyźni powiewali kapeluszami, kobiety zaś chusteczkami.

Nagle zawołała jedna z dziewcząt przeraźliwie:

— Jezus Marja! Ten blady pan o długich włosach ,to jest hrabia Werner, któregośmy uważali od pewnego czasu za umarłego.

Skutek tych słów był ten, że mu się wszyscy zaczęli przypatrywać, a poznawszy go, powitali radosnymi okrzykami.

— Wyprzegać konie — zawołał donośny głos męski — zaciągniemy wóz aż przed dom!

Z trudnością tylko powstrzymał Herbert i hrabia rozentuzjazmowany tłum, od wykonania tego planu.

Całe Petershagen było wzburzone, tylko jedna osoba nie wiedziała jeszcze nic o szczęściu, które ją spotkało.

W małej izdebce, której okno wychodziło na podwórze, klęczała pani Herbert przy krucyfiksie i modliła się gorąco:

— Boże wielki, pozwól wrócić memu dziecku szczęśliwie z podróży i uwolnić mego męża i hrabiego Wernera z ciężkiego więzienia, a całe życie służyć Ci będę!

Wtem otworzyły się lekko drzwi i dźwięczny głos dziewiczy zawołał: Matko!

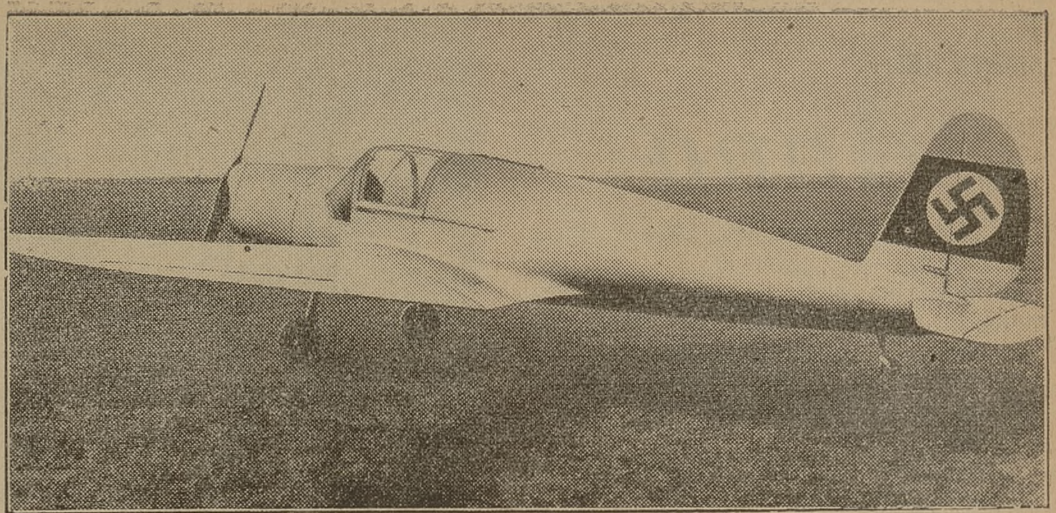
W drzwiach stała trójka osób, o które się pani Magdalena właśnie modliła.

Było to za dużo radości odrazu dla biednej kobiety, która tyle wycierpiała.

Krzyknęła przeraźliwie i padła zemdlona na ziemię.

Herbert podskoczył i podniósłszy ukochaną kobietę, zaniósł ją na kanapę.

Sylwia skropiła twarz jej wodą i po kilku minutach odzyskała pani Herbert przytomność. Jasne łzy radości spływały jej po twarzy, gdy rzekła:



Nowy niemiecki samolot sportowy AR 79

— Mam was nareszcie! Bogu chwała i dzięki, że się bieda moja skończyła!

Zaczęło się opowiadanie i trwało dość długo, nim się umysły trochę uspokoiły.

Wreszcie zapytała Sylwia zdziwiona:

— Gdzie jest Ida, mamo? Proszę po nią posłać, jeżeli ona gdzieś w mieście szyje!

— Ida jest teraz panią markizową de Lorme — odparła pani Herbert z radością — i jest ogromnie bogata!

Wiadomość ta, uradowała Sylwię niewymownie.

— Co za szczęście, że ona wyszła za tego, którego tak długo tajemnie kochała — pomyślała.

— De Lorme? — powtórzył hrabia zdziwiony i myśląc, że to ten, co był świadkiem ślubu hrabiego Ernesta, zapytał: W jakim on jest wieku?

— Jest bardzo młody — odparła pani Herbert — pozna go pan zresztą wkrótce, bo ja zatelegrafuję natychmiast po Idę.

— Kto to jest, ta Ida? — zapytał hrabia.

Pani Herbert opowiedziała mu wszystkie przejścia Idy i dodała:

— Markiz przyjechał właśnie tylko po to do Austrii, aby odszukać jakąś pokrewną mu duszę.

Chciała właśnie opowiedzieć przybranej swej córce tajemnicę jej pochodzenia, ale Sylwia ją uprzedziła.

Objęła panią Herbert za szyję i rzekła:

— Kochana mamo, ja już znam tę tajemnicę!

— Wiesz już o tym, że nie jesteś naszą córką? — zaniepokoiła się Herbertowa.

— Dowiedziałam się o tym od Wernera — rzekła Sylwia.

— Ale dowodów na to nie mamy — rzekła pani Herbert.

— Lecz ja je mam — odpowiedział Werner i podał jej zżółkły akt ślubny rodziców Sylwii, opowiedziawszy niezwłocznie, jak do tego przyszedł.

— Boska w tym ręka — rzekła pani Herbert — bo gdyby baron nie był kazał wykraść tych papierów, to byłyby się one podczas pożaru spaliły i nie było by można dowieść pochodzenia Sylwii. Tak więc podłość barona na dobre wam wyszła.

Mówiono jeszcze długo o tym, niezwykłym, a tak szczęśliwym zbiegu okoliczności, wspominając przytem wszystkich, którzy się im w tym smutnym czasie, przychylnymi okazali.

Hrabia poszedł natychmiast podziękować Kudlichom, za ich dobroć dla Herbertów, a uczynił to tak serdecznie, że pani Kudlich łzy w oczach stanęły.

Potem zaprosił całą rodzinę Kudlichów na wspaniały obiad do hotelu i obiecał pannie Kudlich ,że będzie tańczył na jej weselu.

Po skończonym obeidzie zameldował się Mayer do hrabiego, prosząc go o rozmowę.

— Czego sobie życzysz, — przemówił Werner do niego dobrotliwie.

— Panie hrabio — rzekł Mayer — chciałem tylko zameldować, że Alojzy wyjechał do Wiednia. Zdaje mi się, że on chce się zemścić na baronie.

— Nie żałuję barona — rzekła pani Kudlich.

— Baron Sturmfeder, to bardzo ostrożny człowiek — wtrącił pan Kudlich — potrafi się obronić!

— I ja tak sądzę — rzekł hrabia — ale mimo to pojadę do Wiednia, aby z jednej strony wstrzymać Alojzego od gwałtownej zemsty, a z drugiej zaskarżyć barona o zbrodnię, którą popełnił.

Sylwia starała się wstrzymać go od podróży, ale hrabia nie dał sobie wyperswadować i po długich prośbach dopiero obiecał, że jeszcze przez tydzień wypocznie nim się do Wiednia wybierze.

Dzień ten zbiegł szczęśliwie i prędko.

Późno już było, gdy goście hrabiego Wernera, opuścili hotel. Dopiero, gdy hrabia Werner został sam, czuł, jak był osłabiony i bezsilny.

Chciał się właśnie położyć, gdy wszedł Mayer i pomógł mu przy rozbieraniu. Potem poprosił, aby mu wolno było spędzić noc obok łoża hrabiego.

Z przyjemnym uczuciem, położył się hrabia do miękkiego łóżka i długo jeszcze myślał o szczęśliwym zwrocie w jego losie, a gdy zasnął, czuł we śnie nawet błogie uczucie wolności i połączenia się z ukochaną narzeczoną.

ROZDZIAŁ CCCXIII.

Erynie czyli boginie zemsty

Podczas gdy Sylwia rozpływała się w szczęściu, przeżywała Cyganka okropne chwile.

Przetransportowano ją do bezpiecznej celi, położono na twarde łoże i rozpętano ją.

— Muszę zawołać żonę, aby jej włożyła więzienne ubranie — rzekł dozorca.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

MARIA REUTT

Anna

— Mówią, że nowe jest zawsze lepsze od starego — zauważyła.

— Może ma pani i rację, ale co do mnie, to zbyt dużo straciłem, by mogło się wrócić. Jedno tylko jeszcze może przyjść do mnie, wejść w moje życie — to miłość, o ile by kiedy wplotła się w moje istnienie.

Zaczerwieniła się tym razem ona i serce jej zabiło mocno.

— Czy pan wierzy w miłość? zagadnęła go.

— Wierzę że można znaleźć wielkie, bezinteresowne, szczere uczucie, niezależne od miejsca i osób.

— I wierzy pan, że znajdzie taką miłość?

— Owszem, mam nadzieję, że przyjdzie ona do mnie. Czekam na nią.

Wanda pobladła i w oczach jej rozlał się smutek i tęsknota.

— Czeka na wielką miłość! Jej osoba nic dla niego nie znaczy, będzie mu zawsze obcą, obojętną — przebiegło jej przez myśl nielogicznie, bo przecież robiła sama wszystko, żeby go odstręczyć od siebie, zniechęcić.

Zauważył jej wzruszenie, ale nie umiał odgadnąć przyczyny, nie wiedział, że swoimi słowami obudził w jej duszy wspomnienia przeżyć dla niej tak okropnie bolesnych i upokarzających.

Z taktem i wrodzoną subtelnością skierował rozmowę na inne tory.

— Czyż to nie karygodne z mej strony mówić o czekaniu na wielką miłość, do młodej i pięknej pani — powiedział żartobliwym tonem.

Znikł pogodny wyraz z jej twarzy, postać jej zesztywniała, a w oczach pojawił się zwykły jej chłód i wyniosłość.

Leona nie odstraszyła ta zmiana jej nastroju. Poczuł się tym dawnym Leonem wytrawnym uwodzicielem.

— Niech pani zapomni na chwilę o tym że jest moją chlebodawczynią, a pamięta tylko to, że jest młodą i piękną kobietą, dla której życie kryje całą masę szczęścia i miłości.

Wyglądał tak zwycięsko, tak uwodzicielsko, że nie miała siły woli, by mu się oprzeć, by maską chłodu i wyniosłości niby pancerzem odgrodzić się od jego uroku.

— Ten jeden raz wcieli się w Grażynę.

Uśmiechem odpowiedziała na jego uśmiech. Oczy jej zabłysły jak dwa szafiry twarz cała ożyła, nabrała barwy i wyrazu.

— To już dużo lepiej! Jest postęp — ucieszył się. — Uważałem i uważam zawsze za przestępstwo ze strony kobiety przygasanie swej urody i ukrywanie jej pod maską nieprzystępności i dumy.

Zniżył głos:

— Gdyby pani nie była właścicielką Bereznej!...

— To co by się stało wówczas — wyzwała go, spoglądając mu w oczy zalotnie.

— Gdyby pani była zwykłą panną Żułowską siadłbym u jej nóg, patrzył w jej cudne oczy, pieścił jej rączęta, całując



Anglia jest krajem oryginalnych tradycyj! Np. w pewnym kościele londyńskim, corocznie urządza się bieg dzieci wokoło nawy kościelnej.

po kolei każdy jej paluszek i uczyłbym ją radości życia, jaką daje każdej kobiecie piękności, młodość i miłość — mówił wolno, przyciszonym głosem.

Serce jej biło jak młotem, wzruszenie ściskało za gardło.

Tak, dla niej byłoby bezgranicznym szczęściem znaleźć się w jego objęciu, poczuć jego usta na swoich, zapomnieć o tym, co było.

Nie chciał przeciągać struny. Obawiał się, by nie zamknęła się w sobie i okryła pancerzem chłodu i wyniosłości. Zmienił temat.

Wyciągnął rękę po flaszkę wina, co stała na stole.

— Pozwoli pani.

Zamrugała nerwowo oczami, jak ktoś zbudzony nagle ze snu.

— Owszem — podsunęła w jego stronę kieliszek.

Następnego dnia, gdy się spotkali na podwórzu odpowiedziała na jego ukłon niebałym kiwnięciem głowy.

Patrzyła na niego chłodnym, nieprzyjaznym spojrzeniem, głos jej brzmiał rozkazująco, gdy pytała o zarządzenia i sprawy gospodarcze.

Zagryzł wargi, czoło przecięła mu pionowa zmarszczka między brwiami.

Sztywny, wyprostowany niemal po żołniersku, dawał wyjaśnienia głosem monotonnym, bezdźwięcznym.

Czuł żal i gorycz w duszy.

— Co za niemiłe usposobienie — myślał z niechęcią.

* * *

Minął pogodny listopad, powoli przesuwał się grudzień deszczowy, bezsłoneczny, szary, wilgotny.

Leon rzadko zachodził do pałacu, natomiast stał się codziennym gościem w miasteczku u komisarza policji, którego młoda ładna i zalotna żona pani Zula, witała chętnie przystojnego administratora z Bereznej.

Widywano ich często w cukierni, kinie na spacerze w parku, roześmianych, przekomarzających się ze sobą.

Miasteczko zawrzało od plotek. Anna z przyjemnością powtarzała je pani Halinie, a ta Wandzie.

* * *

Na Boże Narodzenie Leon na 5 dni wyjechał do Warszawy.

Odwiedził znajomych, zameldował się u swego byłego szefa w ministerstwie spraw wewnętrznych i odbył z nim godzinną poufną konferencję.

Ale najpierw pojechał na grób matki, wioząc kwiaty. Długo siedział przy grobie blady, umęczony, pełen skruchy i żalu.

Prosił ją o przebaczenie, przypomniał sobie wszystkie chwile spędzone z nią, jej dobroć, jej miłość aż do samozaparcia się.

* * *

Gdy wrócił do Bereznej w wigilię Nowego Roku i stanął na progu błękitnego saloniku powitały go radośnie wyciągnięte ręce pana Żułowskiego i rozjaśnione źrenice Wandy.

— Brakowało nam bardzo pana — mówił stary pan, ściskając radośnie dłonie przybyłego.

Wanda nie wymówiła ani słowa, ale krzyczały o tej radości rumieńce na jej twarzy i rozbłysły, pojaśniały błękit oczu.

* * *

Anna zaprosiła Leona na „herbatkę".

Przyszedł cokolwiek za wcześnie. Drzwi otworzyła mu sama pani domu opięta w biały fartuch, osłaniający szczelnie jej jasną, jedwabną suknię.

Zajęta była układaniem ciastek na paterach.

— Nie trzymam służącej, jak wiesz; w tak małym gospodarstwie, jak moje, byłaby tylko zawadą. Posługaczka przychodząca na trzy godziny dziennie wystarcza mi w zupełności.

— Józik nadejdzie lada chwila. Przed godziną został niespodziewanie wezwany do starostwa na konferencję — usprawiedliwiała nieobecność męża.

— Pomóż mi w przygotowaniach do podwieczorku — zaproponowała mu.

Zgodził się skwapliwie.

— Ależ naturalnie! Co mam robić? —

— Ukroisz mi chleba.

Poprowadziła go do mniniaturowej kuchenki, bardzo czystej, biało-niebieskiej, gdzie na blasze bulgtowała woda w czajnikach, unosił się zapach dobrej kawy, a na stole leżał chleb, stało masło w masielniczce i na talerzach różne ostre przypawy do kanapek.

Leon z powagą zabrał się do krajania cieniutkich kromeczek chleba, które Anna smarowała i przekładała mozaiką najrozmaitszych przypraw , układając je potem na półmiskach.

Szykując szybko i zręcznie przysmaki, rozmieszczając je artystycznie na stole opowiadała Leonowi o poznaniu się z mężem, o jej wielkiej miłości od pierwszego wejrzenia.

— Masz krewnych w Nowogródku — zdziwił się.

— Tak, siostrzeńca mej matki. On sam pochodzi z Kijowa, ale ożenił się z córką popa spod Nowogródka w pierwszym roku wojny i tam już został.



Włoski podsekretarz stanu Tassinari bawił ostatnio w Berlinie z wizytą oficjalną.

— U nich to poznałam Jóźka. Nie podobał mi się narazie, ale stopniowo jego wielka miłość ujęła mnie i nie żałuję tego kroku wcale.

Zamilkła po tym wyznaniu. Jakby w duszy przeżywała na nowo te wrażenia.

Nie odzywał się i Leon zajęty wyjmowaniem talerzyków z kredensu.

Pierwsza przerwała milczenie. Głos jej drżał, wyrazy przechodziły przez gardło drżące, rwące się, jakby z trudem wyrywały się z ust.

— Gdybym tylko mogła zapomnieć ciebie, wyleczyć się z tej beznadziejnej miłości byłabym najszczęśliwszą kobietą na świecie...

Talerze zabrzęczały mu w rękach.

— Zawsze ta sama: kłamliwa, bezczelna, dufna.

Wiedziała, czym brać mężczyzn, czym ich uwodzić. Tylko że on już był inny. Był już dojrzałym mężczyzną, który za swą łatwowierność zapłacił bardzo drogo — cierpieniem, upokorzeniem i bolesnym zawodem.

— Ach ty czarownico! — zawołał żartobliwie, chcesz znów urzec mnie, ale obecnie nie przedstawiałbym dla ciebie żadnej realnej wartości. Ubogi administrator cudzego majątku bez pieniędzy i wpływów.

— Dla mnie jest obojętne twoje położenie majątkowe i stanowisko — a wchodzi w grę tylko twoja osoba, bo byłeś jesteś i będziesz dla mnie jedynym mężczyzną, którego kochałam...

— Dobrze, że użyła czasu przeszłego — przemknęło mu przez myśl, — głośno powiedział: — Gdzie mam położyć te talerze? — wskazał na wyjęty serwis.

Zagryzła wargi z irytacji, że tak obojętnie przyjął jej wynurzenia, mające na celu uwiedzenie go. Odpowiedziała jednak z przesłodkim uśmiechem i miłym spojrzeniem.

— Rozłóż je dookoła na stole.

Gdy skierował się do jadalni zawołała za nim:

— Przynieś mi łyżeczki, są w lewej szufladzie kredensu.

Postawił talerz na stole i wysunął prawą szufladę. Była prawie pusta, leżały tylko w niej wycinki z gazet rosyjskich rzucone niedbale, zmięte częściowo. Wziął w rękę pierwszy z brzegu. Uderzyło jego spostrzegawczy wzrok fakt, że podkreślone w nim były niektóre słowa i litery. Podniósł drugi — ta sama banalna, nic nie mówiąca treść i te niepokojąco podkreślane czarnym ołówkiem litery i całe wyrazy.

Nabrał tych wycinków całą garść, schował do kieszeni i wtedy dopiero otworzył drugą szufladę.

Owionęło go wspomnienie Bilinek.

Na zamszowej ściereczce leżał rząd srebrnch łyżeczek, z wygrawirowanym na nich herbem Bilińskich. Były to łyżeczki jego własne, łyżeczki z kolekcji cennych rodzinnych srebrnych zastaw stołowych. Pochodziły z grabieży. Przywiozła je widać ze sobą z Rosji.

Wyjmował je delikatnie, dotykał z pieszczotą.

Przy tym zajęciu zastała go Anna wchodząc do pokoju z półmiskami przekąsek.

Zauważyła odrazu, że poznał je i rumieniec zakłopotania przesunął się przez jej policzki.

— Ach jak mogłam być tak nieuważna! — Zauważyłeś prawdopodobnie, że łyżeczki te pochodzą z Bilinek — spytała, udając że nie widziała jego wzruszenia. Odkupiłam je od chłopca po spaleniu pałacu. Miałam zamiar zwrócić je twojej matce, ale gdy się zaręczyliśmy zostawiłam je na nasze wspólne gospodarstwo. I tak zostały przy mnie jako wspomnienie dzieciństwa.

Zgrzytnął klucz w zamku, szczęknęła klamka.

— Józek — wołała do męża z rozradowaniem w głosie — chodź prędzej. Leon jest już i pomaga mi w przygotowaniach do herbaty.

— Idę — odkrzyknął, zdejmując palto. Przywitał Leona z wylaniem.

— Zawsze rad pana spotykam. Anna z taką życzliwością mówi o panu jako o towarzyszu lat dziecinnych.

Leon szczerze odwzajemnił jego uścisk dłoni.

Do podwieczorku było już wszystko przygotowane. Stół nakryty, kawa zaparzona, woda nastawiona na herbatę.

Przeszli do saloniku.

Pan Józef grał w szachy, Leon również, więc szachownica znalazła się na stoliku i obydwaj panowie pogrążyli się w trudnej, zawiłej strategii figur i pionków. Anna usiadła obok nich i zręcznymi palcami poprawiała niedokładności i uszkodzenia „manicury".

Zabrzmiał dzwonek drzwi frontowych.

Pan Józek z żalem odłożył grę, wstał i poszedł otworzyć drzwi. — Pani Halina, Wanda i pani Wisia, żona dyrektora banku weszły do sieni ośnieżone, otulone w futra.

Na widok Leona brwi Wandy drgnęły leciutką zmarszczką, a usta zacisnęły się nerwowo. Nie zrobiła mu jednak żadnej uwagi, nie okazywała słowami zdziwienia, gdy pomagał jej zdjąć futro.

Znów dzwonek.

Tym razem byli to dwaj koledzy biurowi pana Józka z żonami. Ostatni przyszli starosta z doktorem.

Maleńki salonik zapełnił się.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

K O N I K Ó W K A

uł. Witold Mataczyński, Łysinin

Tłum	dziel	lu	ni	mo
cią	o	nie	nych	dzi
i	bez	żą	że	zaw
nak	mu	o	wiel	a
być	kich	jed	sze	się

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

A R Y T M O G R A F

uł. Ludwik Kiełpiński, Bydgoszcz

Od pewnego wyrazu zmieniać kolejno pierwszą sylabę, a otrzymamy nowe wyrazy o znaczeniu: 1. pycha, 2. fabryka, 3. rodzaj tkaniny, 4. określenie muzyczne, 5. odwilż (potocznie). Zmieniając kolejno ostatnią sylabę, otrzymamy wyrazy o znaczeniu: 1. wymówka, 2. sąd, 3. okrzyk wojenny, 4. kraj w Azji, 5. jednostka wojsk.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

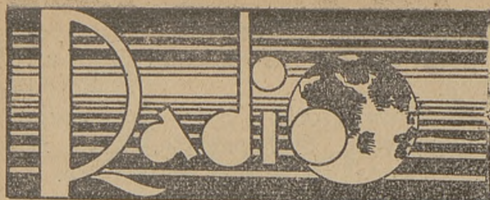
Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 10 czerwca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 21 „Moich Powieści: Łamigłówka: 1. Korsyka. 2. Synowa. 3. Kawaler. Dopełnianka: „Czyny umysłu należy ogarniać rozumem, a nie oblewać żółcią i oceniać według chwilowych nastrojów".

Joubert.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Snacki Jan — Katowice, Biedronka Wacław — Poznań, Wiśniewski Mieczysław — Poznań, „Wandzia z B.", Samulski Władysław — Nowawieś Wielka.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Snackiemu z Katowic i Wiśniewskiemu z Poznania.



Niedziela, dnia 5 czerwca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja z urocz. odsłonięcia pomnika St. Moniuszki, nabożeństwo z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej 10.45 Koncert 13.00 „Książki mojego dzieciństwa" — szkic liter. K. Makuszyńskiego 13.15 „Z krajów winnic i pomarańczy" — muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 17.05 Koncert gimnazjum zespołu śpiewaczego „Melodia" w Mielcu 17.25 Recital fortepianowy Pawła Lewieckiego 17.55 Transmisja ze Strassburga międzypaństwowego meczu piłkarskiego Polska—Brazylia o mistrzostwo świata 18.55 „1000 taktów muzyki" 21.00 „Cabaret artistique" — kartki z historii kabaretu 22.10 „Król pasterzy" — ludowa opera komiczna Osk. Kolberga.

Poniedziałek, dnia 6 czerwca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 8.45 Regionalna transmisja z Kazimierza n/Wisłą 11.00 „Wśród melodii rumuńskich" — reportaż muzyczny 13.00 Audycja dla dzieci 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Na polską nutę — koncert 17.15 „Wrota dalekich mórz" — felieton 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie 20.05 Muzyka z płyt 21.20 Koncert chóru wyeliminowanego na Zjeździe Śpiewaczym w Gdańsku 22.30 Miniatury na orkiestrę smyczkową.

Wtorek, dnia 7 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fryderyk Delius: W ogrodzie latem 12.03 Audycja południowa 15.15 „Na szerokim świecie" — audycja dla dzieci 16.20 Koncert orkiestry salonowej Rozgłośni Poznańskiej 16.45 Jan Matejko — opowieść biograficzna 17.00 Muzyka taneczna 17.30 z piosenką i tańcem po Polsce 18.10 Pieśni Roberta Schumanna 19.00 Recital skrzypcowy Stanisława Tawroszewicza 19.30 Melodie nastrojowe 21.00 Gioacchino Rossini: „Włoszka w Algierze" — opera komiczna.

Środa, dnia 8 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fragmenty symfoniczne z op. Rimskiego — Korsakowa 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Koncert popularny ze Lwowa 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Gra Kehudi Menuhin 19.00 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa 19.30 Humor i piosenka — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki (2-ga audycja).

Czwartek, dnia 9 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.40 Muzyka polska po Chopinie — poranek muz. dla gimnazjum 12.03 Audycja południowa 15.15 Planety — ich przeszłość i przyszłość — pogadanka dla dzieci 16.00 Zespół harmonistów Englarda „Czwórka Radiowa" 16.45 Wakacje rodzinne — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Ludwik Beethoven: 15 wariacji i fuga na temat Symfonii Heroicznej op. 35 18.30 „Zatruty lipiec" — Teatr Wyobraźni, słuchowisko 18.55 Arie i pieśni w wyk. Witolda Myszkowskiego 19.25 Ach te kobiety — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Piosenki dawnych czasów 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 10 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół — S. O. S. — słuchowisko 11.40 Śpiewa Charles Kallmann 12.03 Audycja południowa 15.15 Na drodze mlecznej — pogadanka dla dzieci 16.00 Koncert popularny 16.45 „Gdzie rozbijemy namioty" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.00 W ogniu ciągłych wybuchów — pogadanka 18.10 Recital fortepianowy Aleks. Wielhorskiego 19.00 „Grandioso" — audycja muzyczna 20.15 Audycja dla wsi 20.30 Europejski koncert jugosłowiański 21.55 Popularne suity.

Sobota, dnia 11 czerwca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.00 Audycja dla poborowych 11.15 Audycja dla szkół: Śpiewajmy piosenki 11.40 Stylizowane tańce 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci 16.00 Z utworów Schuberta — wykonawcy: Orkiestra Mandolinistów 16.45 „Prawo dziecka do samotności i swobody" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego 18.45 Kraków w poezji — kwadrans poetycki 19.00 Transmisja z Krakowa uroczystego nabożeństwa z okazji przewiezienia relikwii św. Andrzeja Boboli do Polski 20.00 Festival Muzyczny na dziedzińcu Zamku Wawelskiego w Krakowie (I wielki koncert symfoniczny).



TO CO INNEGO

— Jakto, ożeniłeś się i sam sobie przyszywasz guziki?

— Przepraszam bardzo, wcale nie sobie, a żonie; jest to jej piżama.

W KAWIARNI

— Słuchaj, pożycz mi parę złotych.

— Nie mam.

— Jakto, przecież przed chwilą sam mówiłeś, że masz pieniędzy jak lodu.

— No to sprawdź, proszę, czy mam w kieszeni chociaż kawałek lodu.

CUD

W żydowskim towarzystwie opowiadają o cudach. Zabiera głos stary Piperman.

— Pewnego razu siedzę sam w pustym pokoju. Była czarna, ciemna noc i cicho wokoło. Nagle słyszę coś jak plusk wody. Nadsłuchuję, tak — słyszę wyraźnie, że coś chlupie w wodzie. Przeszły mnie dziwne dreszcze. Strach mnie wielki wziął, ale idę popatrzeć, co to jest. Wchodzę... i widzę, że moja Reginka myje sobie nogi...

— Przepraszam — odzywa się ktoś, ale mieliśmy mówić o cudach.

— A to może nie był cud?

HUMOR AMERYKAŃSKI

W Teksas pewien klient przychodzi do fryzjera. Odłożywszy swe sombrero, klient w chwili, gdy fryzjer przykłada mu brzytwę do namydlonej twarzy pyta — czy pan goli na kredyt?

— Dawniej owszem, — odpowiada fryzjer — ale widzi pan, na tym tle dochodziło często do nieporozumień. Teraz, gdy się który z klientów bardzo prosi o kredyt, nacinam mu nos, żeby wiedzieć ile razy.

Klient chwyta się za kieszeń, — Ja panu zapłacę z góry.

DOBRA RADA

— Przed każdą podróżą jestem całą noc chora!

— No to podróżuj dzień wcześniej!

PROPAGANDA

W komisariacie policji.

— Wyrabialiście panowie awantury, krzyczeliście, rozbijaliście latarnie. Teraz będziecie płacić za wszystko i pójdziecie do ciupy za brewerie w stanie alkoholicznego podniecenia.

— Panie władzo! Jesteśmy członkami związku abstynenckiego!

— A więc?

— Robiliśmy to wszystko w celu propagandy, aby wykazać, jak to nieładnie, gdy się człowiek zaleje!

WRESZCIE ODDA...

Gdy urzędnik żeni się z córką swego gospodarza, a znajomy pyta:

Z czego państwo będziecie żyli? Pani narzeczony nie ma ani grosza, a tylko moc długów — narzeczona odpowiada lekko:

— Ach, on winien mi tyle komornego, że z tego możemy żyć przez pierwszy rok, a poza tym, gdy już będziemy małżeństwem, to przecież oszczędzi na komornem!...

MOCNA WÓDKA

Pijany gość woła kelnera:

— Kelner! Ten o...statni kie-e-e-eli-szek był ddobry. Jeszczę tego samego!

— Pan wybaczy — odpowiada kelner. Ale to pan przez pomyłkę zamiast wódki wypił chrzan ze słoika.

KURACJA

— Znam jegomościa, który w zeszłym roku pojechał do Buska o kuli, a stamtąd zmykał aż się kurzyło.

— Czy tak świetnie zrobiła mu kuracja.

— Nie, tylko zabrakło mu pieniędzy na uregulowanie rachunku w pensjonacie.

WIERZYCIEL I DŁUŻNIK

— Cóż pan myślisz, że ja dla tych marnych 20 złotych będę sto razy na 5 piętro wchodził.

— A cóż pan chce, żebym ja dla tych marnych 20 złotych kupił mieszkanie na parterze?

REKLAMA

Na Gęsiej kupiec Josek Katzenduft wywiesił w oknie wystawowym tablice z następ. napisem:

„Ludzie nie dajcie się gdzieindziej okradać! kupujcie u mnie!"

W WYDZIALE PASZPORTOWYM

Oczy? — niebieskie.

Kolor włosów: — Narazie blond.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Umarł bogacz i stuka do bramy niebieskiej. Wychodzi anioł i pyta, czego chce?

— Proszę mnie wpuścić do nieba — mówi bogacz.

— A co dobrego zrobiłeś?

— Dałem raz biednemu pięć groszy.

— To mało.

— Dałem jeszcze innemu biednemu pięć gr.

— Hm, tego jeszcze za mało. Przypomnij sobie jeszcze coś.

Bogacz myśli długo i wreszcie oświadcza: —

— I trzeciemu żebrakowi dałem pięć groszy, ale to już wszystko.

Anioł zawołał swego sekretarza i mówi:

— Wypłacić temu łobuzowi piętnaście groszy i niech idzie do piekła.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm. szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.